

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 12 KWIETNIA 1930 ROKU

NR. 15

TREŚĆ NUMERU: Udręka samotności — *Zofja Miszewska*. Jak wyglądają nasze żłobki — *Zofja Drabikoma*. Poezje: „Stara historia” — *M. Czerkawska*. Dwie matki — *Ewa Szelburg-Zarembina*. Zdżiczenie — *M. H. Szpyrkówna*. „Święta kucharka” — *Stefanja Podhorska-Okotów*. Zofja Jankowska — *J. Putiatycz-Surynowa*. Z teatrów — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Z książek — *H. N.* Kobieta w świecie i w domu. Niemki a my — *M. Karczewska*. Drzewa szpalerowe — *A. D.* Konserwy a witaminy — *Dr. Marja Kłosińska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Kursy hodowli pieczarek w Poznaniu. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Tualety wieczorowe na zielony karnawał — *Well*. Dodatek: „Kultura Ciąła”. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

UDRĘKA SAMOTNOŚCI

W zawrotnem tempie życia współczesnego, w chaosie spraw, w technice wieczystego pośpiechu dobiegania do mety, która stała się obecnie już barrykadą, zdobywaną przez tłum, kształtuje się życie dzisiejszego człowieka. Zdawałoby się więc mogło, że oto nie może być już czasu na indywidualne przesuwanie chwil w cichym spokoju refleksji, że niema możliwości odejścia od tysiąca spraw, wspólnych tysiącom ludzi, że nie można uniknąć walki, albo współdziałania. A jednak, jak różnemi drogami idą losy człowieka, gdy oto w tym wielkim gwarze życia wykwita słowo — samotność.

Powstaje ono czasem poprostu z niedoli, a czasem znów z pustki wewnętrznej człowieka, który nie może w sobie odnaleźć nici do powiązania się z całością świata.

Najkruchszemi niemi jest powiązana z życiem kobieta. Sprawa samotności kobiety łączy się przedewszystkiem z jej pragnieniem służenia komuś. Jest to taki specyficznie kobiecy altruizm, który nawet w największej egoistce budzi dążenie do użyteczności. Pragnienie to jest zwykle podświadome i głęboko ukryte w samym założeniu stosunków życiowych, a ujawnia się dopiero z chwilą rzeczywistego, że się tak wyrażę, dosłownego osamotnienia.

Są dwa typy kobiet samotnych. Jeden, ogólnie znany — to kobiety, nie związane z żadnym ośrodkiem rodzinnym, idące przez życie w pojedynkę, samotnice dosłowne. Nie będę o nich pisać, gdyż to jest już sprawa losu i czynników zewnętrznych, a kobieta sama może się tylko słabo przeciwstawiać tej Nemzis życiowej.

Chcę jednak pomówić o samotności innej: o samotności kobiet, otoczonych ludźmi i nawet miłością. Nie jest to absurdem, bo jakże wiele jednostek, pomimo doskonałych warunków życiowych, idzie przez życie jakoś dziwnie samopas, bez świadomości, że jednak są nieodzowne i konieczne.

Poprostu, życie, płynące obok, układa się w swe najlepsze lub jedynie możliwe formy bez ich współudziału, a one, albo przechodzą mimo, obojętne, albo nie wiedzą, z której strony podejść, aby przyłożyć rękę do spraw codziennych. Bo właśnie te codzienne, drobne sprawy są terenem działalności tych szczęśliwych, które są mocno z życiem zespolone. Wielkie gesty kobiet zawsze się rozsypią w miliony drobnych przygotowań i nikłych posunięć, aby dać w sumie całość czasem gigantyczną. Potrzebna jest jednak intelektualna rozległość terenu, aby objąć okiem przestrzeń, którą się potem odmierzy drobnymi krokami. Samotność wewnętrzna kobiety wynika więc często z wąskości przesmyku, jakim płynie jej życie. Na końcu tego przesmyku tkwi zazwyczaj jeden nikły punkt, do którego się dąży i który wypełnia życie, wytwarzając ową współpracę, lub współwalkę, która jest jedyną bronią przeciwko samotności.

Szczęśliwie, gdy punkt ten trwa do końca, do końca bowiem i w kobiecie trwa wówczas świadomość użyteczności i wspólnoty z całym światem. Lecz gdy punkt centralny życia kobiety z tych, czy innych powodów zniknie, wtedy to następuje bezradna, smutna samotność, bo nie samotność w stosunku człowieka do człowieka, lecz w stosunku człowieka do życia. To nie, że jest otoczona ludźmi. Bo oto każdy obok ma

swój cel, swój horyzont myśli, swoje pole zainteresowań. A taka „samotna“ nie potrafi się przyłączyć do żadnego z nich. Nieraz przy pewnych warunkach psychicznych, wytwarza się tak często ośmieszany typ kobiety „zapoznanej“, która jest plagą otoczenia, a sama najwięcej cierpi.

A co jest tym zasadniczym punktem centralnym? Oczywiście, że najczęściej miłość. W najbardziej wąskim intelekcie miłość będzie zrozumiałą wytyczną życia, a jej zniknięcie pociąga za sobą najbardziej powikłane załamania psychiczne i gwałtowny zwrot do solipsyzmu, który jest bitym gościńcem bolesnej samotności.

Ktoś drogi odszedł — cały świat może nie istnieć, wszystko jest mało ważne, nawet zupełnie nieważne; nie istnieje nic, co by mogło pustkę wypełnić. Tak oto rozumują kobiety, których jedyne zainteresowanie stanowi kwestja uczucia, a takich jest większość. Duszne o ciasnym horyzoncie i słabej odporności odsuwają się też raz na zawsze od świata, a po pewnym czasie łamią ręce nad własną bezużytecznością i samotnością. Myślą, że zniknięcie człowieka, który był dla nich ogniwem uczucia, spowodowało tę pustkę, a nie widzą, że pustka leży w nich samych. Prosto dlatego, że niema w nich możliwości odnalezienia innych ogniw, że zapamiętują się w swoim smutku niepotrzebności.

Ale „kobieta niepotrzebna“ jest paradoksem, tak samo, jak jest paradoksem niepotrzebny człowiek. Życie jest rozległe, różnorodne i pociągające. Należy się tylko wpatrzeć w jakąś jedną dziedzinę, aby uczuć się porwaną w wir zainteresowań i czynności, z niemi związanych.

A więc jedynym sposobem walki z wewnętrzną samotnością jest rozszerzenie skali zainteresowań. Natury silniejsze i bogatsze, po stracie jednego kulminacyjnego punktu swego życia, odnajdują natychmiast drugi. Człowiek wogóle, a kobieta w szczególności, musi mieć życie po brzegi pełne spraw ważnych, czekających tylko na jej ręce. O ileż spraw zaczepiają się często takie bezradne kobiece ręce, zanim natrafią na coś swego, bliskiego sercu. Koniecznie to ostatnie, bo wszelki punkt kobiecych zainteresowań

zaczyna się od serca. Np. działalność społeczna i dobroczynna, sztuka, literatura — także tam najczęściej swój początek bierze, a niekoniecznie w poczuciu obywatelskości.

W swoim czasie, w jednym z numerów „Bluszczu“ p. Strzelecka poruszyła sprawę społecznej pracy kobiet, dowodząc, że nie stoi ona na właściwym poziomie, że nie jest poważnie traktowana, jako obowiązek obywatelski. Ciężkie słowo — obowiązek — lecz można doń podejść z dwóch stron: jako do przyczyny pewnych ważnych i nieuniknionych skutków i jako do samego pojęcia czegoś, co czeka na nasze tylko ręce i co stać się musi.

Pierwszy punkt widzenia jest logiczniejszy, ale drugi jest bardziej życiowy. Bo często jedynym antidotum na melancholję samotnych kobiet jest owa bogata i różnorodna praca społeczna, która zaspokaja zarazem potrzeby serca i zapelnia pustkę życia.

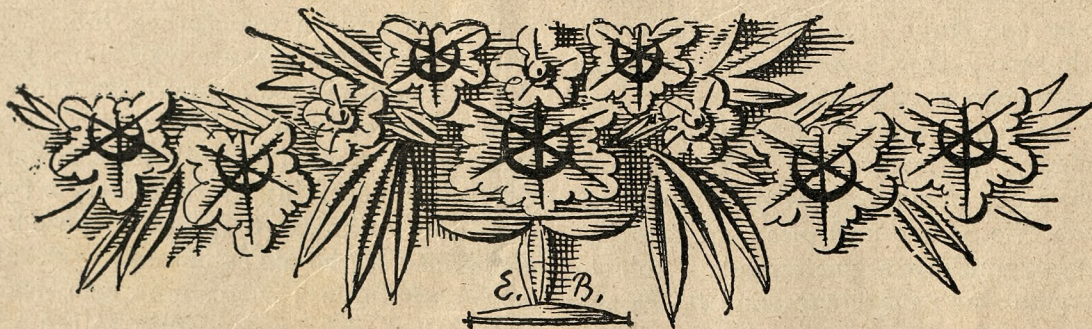
Obowiązek, dla samej jego słodkiej nazwy pochłania kobietę, to też nic dziwnego, że bierze ona często środek za cel. Staje do pracy społecznej, bo widocznie jej własne życie jest ogromnie puste. Popelnia grzech ciężki, jeżeli osłabia powagę pracy przez dyletantyzm, tylko, że przytem ratuje czasem siebie od wielkiej rozpacz.

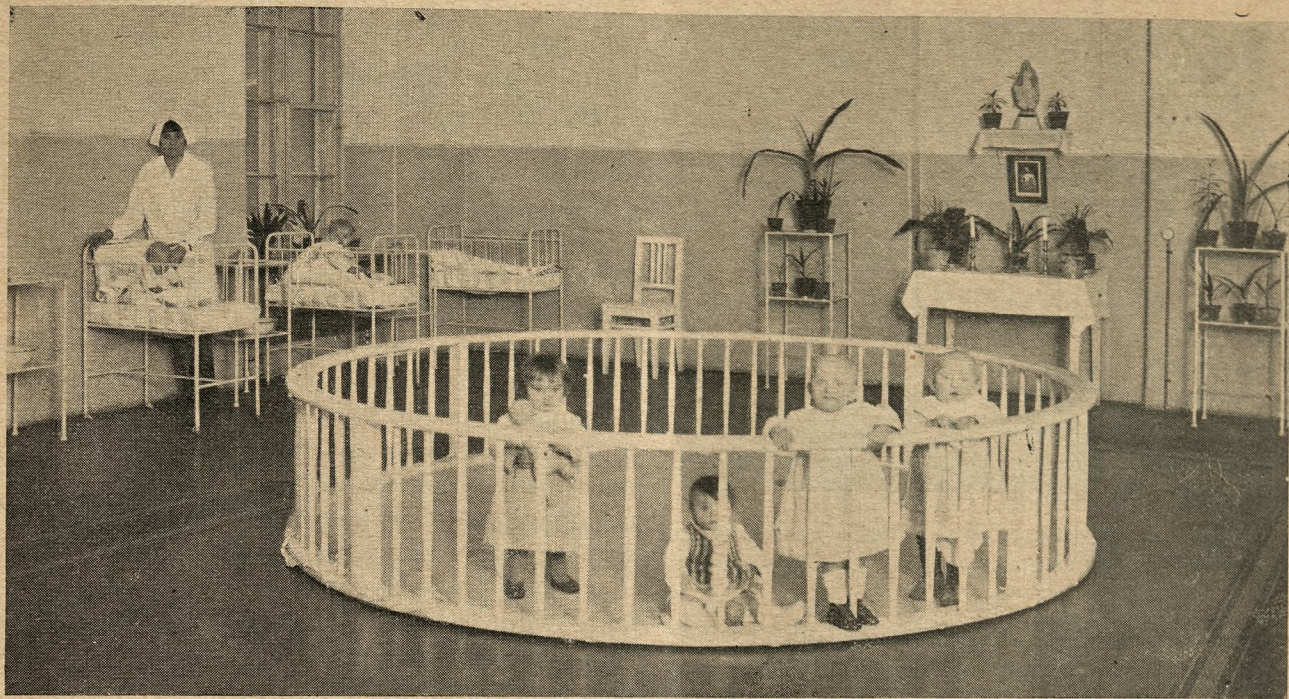
Kobieta, zdolna do szerokiego ujmowania życia, nigdy nie będzie samotna. Pójdzie ku tysiącom rzeczy z gorącym zainteresowaniem i stanie się nieodzowną tam, gdzie jej dotąd wcale nie było. To jest właśnie sztuka życia: umiejętne wyzyskanie bogactw wewnętrznych, które potrafią stanąć na miejscu dawnych wartości. Prawda, że nie wszystko da się zastąpić.

Sfery uczucia są wartościami tak stałymi, że nie może się z niemi równoważyć. Można sobie jednak nieco ulżyć ciężaru trosk, i zostanie tylko mały kącik w sercu na smutki.

Samotność lubi być niepodzielną panią, i wszelki rozmach życiowy niweczy ją w zupełności. Sam jest tylko człowiek bezczynny, bo taki nie ma nic do dania, a więc i nic do otrzymania, i tem samem zatracą kontakt z ludźmi. Samotność — to poprostu bezpożyteczność.

Zofja Miszewska.





Drobiazg w łóžeczkach, starsze dzieci w „zagrodzie”. (Żłobek przy fabryce Norblina).

ZOFJA DRABIKOWA

JAK WYGLĄDAJĄ NASZE ŻŁOBKI?

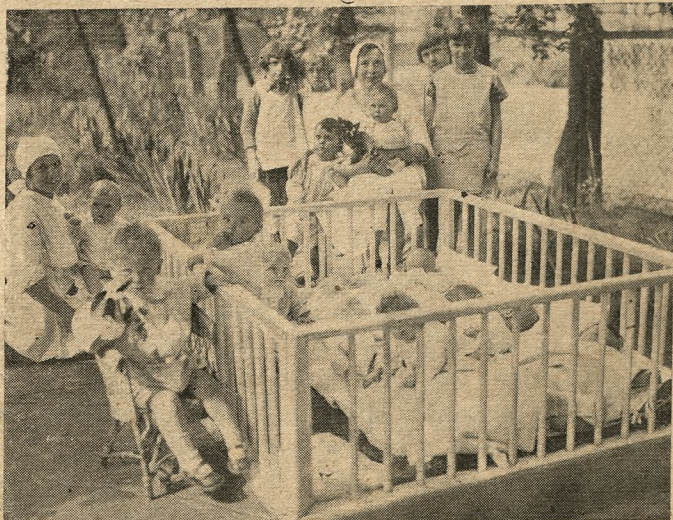
Jak wyglądają nasze żłobki? Zwiedziłam ich kilka i z całą szczerością powiedzieć mogę, że chciałabym swoje własne dziecko móc chować w takich warunkach, jakie tam zastałam. Wzorowość tych instytucyj wypływa z zasady ministerstwa, zezwalającego na uruchamianie jedynie takich żłobków, które odpowiadają wszystkim, wymaganym w tej dziedzinie warunkom. Opiekę nad lilipucimi wychowankami sprawu-

je stały lekarz, odwiedzający ich 2 do 3-ch razy tygodniowo, oraz pielęgniarki-wychowawczynie, kształcone na specjalnych, 6 miesięcznych kursach, prowadzonych przez ministerstwo.

Żłobek ożywia się na pół godziny przed rozpoczęciem pracy w fabryce, kiedy przybiegają robotnice i składają swe maleństwa w pierwszym pokoju, na specjalnych stołach-szafkach, których wierzch po-



Maleństwo w kąpieli. (Żłobek przy fabryce Norblina w Warszawie).



Ogródek dziecięcy. (Żłobek monopolu spirytusowego w Warszawie).



Karmienie piersią przez matki.
(Żłobek przy fabryce „Płomyk” państw. monopolu zapalczanego)

przeznaczony jest przegródkami, a każdej takiej przegródce odpowiada znajdująca się pod spodem szafka. Tam pielęgniarka rozbiera dziecko, chowając do szafki przyniesione ubranie, i zabiera niemowlę do łazienki. Szereg mniejszych i większych wanienek, nad nimi rząd puszystych ręczników i myjek (dla każdego dziecka osobne) oraz duży stół z materacem do przewijania niemowląt stanowią tu umeblowanie.

Wykapany i czysto ubrany dzidzius przeniesiony zostaje do sali, gdzie wzdłuż ścian stoją śliczne, białe łóżeczka, a środek pokoju zajmuje kojec-zagroda. Grubo i miękko wysłany spód, przykryty prześcieradłem, otacza biała lakierowana barjerka, wewnątrz której stawiają bezpiecznie swe pierwsze kroki maleńcy wychowankowie.

Trzy razy w ciągu dnia — dwie przerwy specjalne, trzecia obiadowa — przychodzą matki karmić swe niemowlęta. Wchodzą one do osobnego pokoju, w którym znajdują się: umywalnia, szaragi z białymi fartuchami i czepkami, oraz białe, jak wszystko tu, ławki. Każda z matek, po umyciu się, zakłada czepek i fartuch, a pielęgniarka przynosi jej niemowlę, gdyż na salę sypialną wchodzić im nie wolno. W tym czasie wypijają matki przeznaczone dla nich mleko. Jądrospis dwukrotnie w ciągu dnia dożywianych dzieci składa się z kaszek, jarzynek, a nawet owoców, oraz wszelkich środków, zalecanych maleństwu przez lekarza. W wielu żłobkach, i to nie tylko państwowych, ale i prywatnych, wprowadzone są lampy kwarcowe. Gabinet lekarza, izolatka dla chorych, kuchnia i pralnia dopełniają całości.

Zwiedzając wzorowo utrzymany żłobek przy warszawskim monopolu spirytusowym, natrafiłam na przemiałą instytucję, którą stanowi „dzieciniec”, będący dalszym ciągiem żłobka. Kiedy maleństwa po ukończeniu półtora roku muszą żłobek opuścić, przechodzą wówczas do dzieciny. W dwóch dużych pokojach, utrzymanych w jasno zielonym tonie, umeblo-

wanych niskimi krzesłkami, stolikami i szafkami, oraz pomysłowymi łóżeczkami, które, aby po za poobiednią drzemką nie zabierały miejsca, są podnoszone i przytwierdzone do ściany — zastałam cały tuzin rumianych, roześmianych buziaków dziecięcych, świadczących, jak im tam dobrze i zdrowo. Spędzają one w higienicznych warunkach, racjonalnie odżywiane, te same 8 godzin, co dzieci w żłobku, zostawiane rano i zabierane o godz. 5-tej przez robotnice, powracające z fabryki do domu.

Dziecińce, których posiadamy jeszcze niewiele, a z których dzieci mogłyby przechodzić do przedszkoli i stamtąd już do szkoły — chociaż ustawą nie objęte, powinny istnieć przy wszystkich żłobkach, tworząc tym sposobem nieprzerwany łańcuch racjonalnej opieki nad dzieckiem od niemowlęstwa, aż do czasu ukończenia przez nie szkoły.

Oczywiście, życzyć sobie musimy jaknajszybszego rozwoju powyższych instytucyj, lecz nawet stuprocentowe wypełnienie obowiązującej dziś ustawy będzie jeszcze kroplą w morzu potrzeb w tej dziedzinie. Setki tysięcy kobiet, matek pracujących, poczynawszy od praczek, szwaczek, sklepowych, dalej wszelkich wyrobnic w mniejszych i większych przedsiębiorstwach, w których tendencyjnie liczba zatrudnionych kobiet nigdy do „stu” dojść nie może, a skończywszy na rzeszach pracownic umysłowych, na urzędniczkach największych nawet banków, towarzystwach akcyjnych i instytucyj komunalnych — skazane są na pozostawianie swych maleńkich dzieci na łasce i niełasce przygodnych, niekompetentnych opiekunów, lub pierwszej lepszej Marysi czy Kasi, bo na wykwalifikowaną wychowawczynię nie stać nawet t. zw. dobrze sytuowanej urzędniczki. Matka wraca codziennie do domu, niepewna, jak zastanie swe maleństwo, a o



Żłobek „lotny”. Pielęgniarka w domu robotnicy.
(Przemysł korkowy).

ścisłem przestrzeganiu zasad higieny w tych warunkach nie może być nawet mowy. Ogromna śmiertelność, zarówno jak i zastraszająca statystyka nieszczęśliwych wypadków wśród niemowląt, jest wymowną ilustracją stanu rzeczy.

Dla tych przyczyn wprowadzona ma być nowelizacja 15 artykułu obowiązującej ustawy pod nazwą „Ustawa w sprawie żłobków dla niemowląt”, nakładająca obowiązek opieki nad dzieckiem i matką na wszystkie zakłady, zatrudniające powyżej 5-ciu pracowników. Pracodawcy, którym ze względu na niewielką ilość zatrudnionych kobiet, nie opłaca się utrzymywanie osobnego żłobka, będą mogli płacić przepisaną sumę od każdej pracownicy na fundusz, z którego powstaną żłobki zbiorowe. A i wtedy jeszcze samorządy gminne oraz instytucje ubezpieczeniowe powinny pomyśleć o tworzeniu po wsiach i miastach żłobków, w których każda pracująca po za domem matka, nie

podlegająca ustawie, mogłaby swe dziecko powierzyć fachowej opiece.

Rzekoma niespołeczność w samym założeniu żłobków, opartych na jednostronnych świadczeniach — pracodawcy, bez udziału pracobiorcy — może być usunięta jedynie przy ogólnej reformie opłat ubezpieczeniowych i otrzymywanych świadczeń, w obecnym bowiem systemie nowe obciążenie w okresie macierzyństwa, i tak już mocno okrojonych zarobków pracowniczych, stałoby się jeszcze jednym kamieniem, rzuconym pod nogi matki pracującej. A wszak nie oto nam chodzi.

Jeżeli tedy wiek XX-ty — wiek dziecka — wśród współczesnej bezwzględnej walki o byt ma istotnie otoczyć opieką macierzyństwo kobiety pracującej, a jej niemowlę wyrwać z dzisiejszej poniewierki, w imię zdrowia fizycznego i moralnego przyszłych obywateli kraju, to żłobki i dziecińce stać się muszą instytucją, dostępną dla każdej zarabkującej kobiety-matki.

M. CZERKAWSKA

STARA HISTORIA

*Ciemna suknia pod szorstkim fartuchem roboczym,
Jesienne przedziwne włosach, twarz, jak z mosku —
Kraje chleb, widzi dzieci podkrażone oczy,
Policzki męża nabrzmiałe, nalane troską.*

*Chwila miru — książki, bulki, trzaskanie drzwiami.
Zostaje sama, cisza zalega mieszkanie;
Opuszcza ręce — świegot ptaka za oknami...
Bezmyślne, nikle kółka słoneczne na ścianie.*

*Syk zegara — późno — tyle, tyle roboty...
Przez jeden pokój i kuchnię długi szmat drogi —
W myśli, że Cesia kaszle, że z Jankiem wciąż kłopoty —
Jak zmieścić serca skurez i obolale nogi.*

*W cklimę woń tłuszczu, w żółty zapach cebuli
Wrócili wszyscy — siedzą przy ciepłym rosole;
Słodko gorącą twarz do chłodnej buzi przytulić,
Spytać, nie można więcej, jak dziś było w szkole.*

*Parę nowin — słów krzepiących, jak pocalunki...
Szczęk widelców — i znów mycie, znów sprzątanie;
A potem trzeba biec do miasta po sprawunki
W zbyt szerokie ulice i szukać, gdzie taniej.*

*Wreszcie wieczór mętny nad dziurami w pończochach
I rachunki w kółko: lekarz (trzeba), opał, światło, wikt —
Wreszcie noc — teraz można smobodnie poszlochać,
Tylko cicho — żeby nie słyszał nikt.*



EWA SZELBURG-ZAREMBINA

DWIE MATKI

Kiedy się to zaczęło, nie mogła sobie potem nigdy przypomnieć.

Prostostu któregoś ranka zauważyła, że członeczki dziecka, które dla niej były jakby osobnymi istotkami, wymagającymi najczulszej troskliwości i opieki, są oto mniej skore do figlów, nie tak różowe i jędrne. Przyjrzawszy się im bacznie, spostrzegła, że zprezoczyślały, zwiotczały i stały się dziwnie apatyczne. A więc dziecko musiało być chore od dłuższego już czasu!

Jakże to jednak może być, aby to samo ciało, w matce nie czujące cierpienia — cierpiało w jej dziecku? Aby ta sama krew, zatruta w żyłach dziecka, została czystą w matce?

Zawiodło Weronikę to, czemu ufała. Ujrzała nagle swą ludzką bezsilność. To ją przeraziło.

Jakiś obcy człowiek, ciężki, klockowaty mężczyzna, zapewnił ją z obojętną fachowością, że zrobi wszystko, co będzie mógł.

Co może zrobić obcy człowiek, mężczyzna, chociażby był lekarzem?

Patrzyła z głuchym gniewem, gdy w wielkich dłoniach, płaskich i miękkich, jak pletwy, z pobieżną sumiennością obracał jej małe.

To różane ciało, dotykane tylko ustami i rękoma matki, które są samą tkliwością i nabożną pieśnią, w grubych, głośno opukujących palcach doktora obracało się, niby bezkształtny kawał mięsa.

Weronika do krwi przygryza wargi. Wreszcie skończyło się badanie. Doktor głośno umywał teraz ręce, zalecając dobre odżywianie... powietrze...

Weronika odprowadziła go do drzwi. Poszedł. Czempredziej obmyła dziecko z tych cudzych dotknięć i długo całowała je całe, delikatnie zbierając zeń wargami ślady, jakie musiały zostać od tamtych obcych rąk.

W malej, szarej książeczce, którą odnalazła wczoraj w starych rzeczach, jest napisane wyraźnie: „Wszystko w ręku Boga“.

Czemuż nie miałyby tak być rzeczywiście? Weronika klęka przy łóżeczku i, nieco zażenowana, odmawia „Pod Twoją obronę“, z namysłem dobierając słowa.

Wyszedłszy z lecznicy, Weronika była tak osłabiona, że z trudem posuwała się ulicą w stronę domu.

Ogień, pelgający w ciałku chorego dziecka, przedostał się do jej krwi i pożera ją teraz gwałtownie. Czerwone, piekące oczy w suchych, nabrzmiałych powiekach nie mają już łez i Weronika musi z całych sił przyciskać je palcami, żeby nie rozlały się krwią. A tymczasem pod ołowianym kapeluszem na zakłęsłych skroniach zbiera się ciepły, obfity pot i trudno nadażyć ze zbieraniem go w jedną lnianą, maleńką chusteczkę.

Od rozpalonych podeszew miękkie zmarznęty asfalt chodnika i coraz ciężiej posuwać nogi, w nim grzęznące. To też Weronika przystaje raz po raz.

Ujrzawszy na swej drodze otwarte drzwi kościoła, wstępuje tam bez namysłu.

Już odrazu, od progu, zgorączkowane ciało zanurza się w kolendujący mrok kościelny, jak w senną kotłysankę. Gdyby tak jeszcze usnąć tu szarpiącą się w bólu duszę!

Prędkim, łaknącym krokiem zdąża Weronika przed ołtarz, na którym Madonna pieści swoje Bambino.

Pełne, różowe, jędrne ciałko Dziecka wyłania się z ramion Matki i z ram obrazu, jak soczysty, zdrowiem napełniony, rajski owoc, przynoszący błogosławione orzeźwienie i nasycenie oczom łaknących i spragnionych wiernych.

— Błogosławionaś Ty między niewiastami. Błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus — szepcze na klęczkach Weronika.

Uśmiecha się wiekuiście spokojna swą świętą radością twarz Bożej Rodzicielki w niskich wrotach ubogiej stajenki, opromienionej wielką chwałą. Uśmiecha się nad prostym, a jakże przytulnym żłobkiem, wymoszczonym sianem, zaślany cienką, lnianą płachetką...

... Oto jest dom ziemski, oto kolebka Maleńkiego. Pokój na ziemi ludziom dobrej woli, ubogim duchem...

— Łaskiś pełna. Pan z Tobą — modli się na kolanach Weronika.

Chłonąc w siebie uśmiechnięty, wieczysty spokój Matki Bożej, ona, pełna trwogi, zboliała matka chorego ludzkiego dziecięcia, ochłodę czuje w ciele i na duszy, bo oto wstaje w niej ufność w miłosierdzie.

— Święta Marjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi!

Któż bo u Boga Srogiego uprosi zmiłowanie, jeśli nie Ta, przez Niego wybrana i szczęściem wiekuistym uwieńczona, Matka Syna Jego Jedyne?

— Pod Twoją obronę uciekamv się, święta Bo-

za Rodzicielko... — zaczyna radośnie Weronika i nagle milknie, osłupiała:

Gładkie, drobne deszczółki żłobka ciemnieją, rosą w oczach i dźwigają się w twarde, wysoki krzyż... Miękka lniana pieluszką wyciąga się w sztywną śmiertelną loktuszę, a pocziwy, siwy wół i łagodna, biała owieczka rozmnażają się w liczny, jak

ziarnka piasku, tłum okrutnych ludzkich bydląt!... Twarz stojącej pod krzyżem Bożej Rodzicielki, odarta z niebiańskiego uśmiechu, ocieka potem bólu matki Syna Człowieczego.

— Ojcie! Ojcie! Czemuś mnie opuścił? — te są ostatnie słowa, które Matka Bolesna słyszy w swym sercu, siedmiokroć przeszytem ich ostrzami.

M. II. SZPYRKÓWNA

ZDZICZENIE

Niedawno zdarzyło mi się rozmawiać z człowiekiem, od paru miesięcy przeniesionym z Wileńszczyzny.

Osobiście mam co do charakteru ludzi, tam mieszkających, zdanie dawno ustalone i — jeżeli idzie o sposób obcowania — dużo pochlebniejsze, niż o Warszawie. Oczywiście, nie mówi się o sferach mniej więcej wyrównanych poziomem wychowania, które wnoszą pewien pokost międzynarodowych form. Ale w zwykłym tłumie, u ludu, różnice dają się zauważyć bardzo wybitnie.

— Tu wszyscy są ciągle wzajemnie na siebie wściekli! — zauważył ów kresowiec. — U nas ludzie są skrytsi, chropawsi, ale w gruncie wyczuwa się przecież jakąś życzliwość wzajemną. Tam słowo: „bliźni“ jeszcze ma swój jakiś sens! A tu... wczoraj przechodziłem ulicą, jedną z małych uliczek na Starem Mieście. Szoferowi zepsuło się coś w automobiliu: majstrował, spocony i zły, przy kole, a tłumik gapiów skupił się obok i z zaciekawieniem się przyglądał. Koło było ciężkie, człowiek się podsadzał tak i owak i nie mógł wydolać. Ze złości pchnął najbliższego chłopaka, który mu zresztą naprawdę nie przeszkadzał, i zaklął:

— Gapią się, psiakrew, jakby było na co, a żeby pomógł, to nie pomoże żaden! Pszoł!

Gromadka posunęła się, odszczeknęła i stała dalej. Pierwszym moim odruchem było dopomóc szoferowi: ale spojrzałem na złą, zionącą przekleństwami twarz, spojrzałem po złośliwych i ubawionych jego irytacją wyrostkach i... małodusznie przeszedłem. Nie nadaję się na apostoła, prawda! Ale jest coś tu w Warszawie w samym powietrzu, co jakgdyby rozpylało wzajemną nieżyczliwość. Ludzie są podminowani i tylko czekają, aby ich ktoś nieopatrznie potrącił, by wybuchnąć, jak petardy.

Co do pyroksyliny, wydano już zakaz jej sprzedaży: czy kiedykolwiek nastanie czas, aby wymysły i klątwy, jak najmniej przeznaczone dla uszu kobiet i dzieci, na ulicach nie były tak powszechnie, jak dzi-

siaj są, tolerowane? Myślę, że nastąpiłoby to mogło tylko pod wpływem wewnętrznego złagodzenia, innego nastawienia w stosunku do ludzi. Dlatego o tym specjalnie fakcie z szoferem mówię, że ostatnio byłem świadkiem identycznego zajścia w Wilnie: ale wszystko nosiło inny charakter. Szofer, pomocowawszy się czas jakiś z maszyną bezskutecznie, rozejrzał się bezradnie dokoła, a spostrzegłszy przechodnia w szaraczkowym ubraniu, radośnie zamachał ku niemu ręką.

— Pomoż mnie, kochanieńki, bo już całkiem ze sił wybiwszy się. Nie idzie i nie idzie, choć ty płacz!...

Przechodzień flegmatycznie, ale życzliwie zboczył z chodnika i uważnie obejrzał uszkodzenie.

— To i czemuż nie pomóc? Zażał pan od spodu, a ja stąd. Chiba, że poradzim? A jak nie, to tu niedaleczko mój stryjeczny brat ma sklepik z owocami: podmoże!

Warszawskie „psiakrew!“ — tak zyskało na ulicy i w domach prawo obywatelstwa, że zachodzi obawa, iż stanie się naszym jedynym nieprzetłumaczalnym słowem, specyficznie narodowym, jak w Anglii jest np. nieprzetłumaczalne słowo: „dżentlmen“. Czy dużo zaszczytu przyniesie narodowi to zawołanie herbowe?... Wątpliwe! Ale nie ulega wątpliwości, że Polska, wbrew opinii, tułającej się jeszcze resztkami na mocy dawnych, widocznie istotnych, zasług — jest jednym z najniegrzeczniejszych, w życiu codziennym, krajów. Powiedziałabym raczej: — najnieżyczliwszym, bo bezwzględnie w tem znakomita część niegrzeczności ma początek. „Homo homini lupus est“ zaczyna u nas być prawdą namacalną. Człowiek do człowieka podchodzi z uprzejmym uśmiechem, o ile jest już na ten uśmiech towarzysko nastawiony, ale myśli jednak zawsze mniej więcej to, co mu od razu przegłąda z oczu:

— Człowiek, jak człowiek, ale kto go tam w gruncie wie, czy nie bandyta?

Z drugiej strony, nie można w wielu, niestety, wypadkach mieć tego ludziom nawet zbytnio za złe:

bandytyzm we wszelkiej odmianie rozpowszechnia się u nas w sposób taki, że gdybyśmy ekonomicznie postępowali w temże tempie, byłibyśmy już przodującym narodem Europy. Nie wiem, czy jedna z cech, tak zarzucanych brukowcom, które na niej żerują — podnoszenie kryminalistyki — nie ma jednak i swoich walorów dydaktycznych? Przecież dzieją się u nas rzeczy, które naprawdę najbardziej ewangelicznego człowieka mogą doprowadzić do cyrkułu. Bandytyzm się toleruje na sali obrad narodowych, na szpaltach dzienników, prowadzonych przez inteligentów, w rozmowach prywatnych niezgodnych ze sobą stron, w porachunkach zawodowych, słowem — na wszystkich polach, gdzie go być nie powinno, bo do niedawna jego terenem działania była sfera rabunkowa i czasem — zemsta osobista na tle sercowem. Teraz, wprost przeciwnie: niema dziedziny, w którejby nie grasował. Od oszustw na większą, czy mniejszą skalę, od straganów po hałach i sprzedawania szkielek za brylanty po bramach, i do ogromnych nadużyć bankowych i urzędowych — aż się roi. Forma deprawacji społecznej jest tak różnorodna, że sięga wszystkich dziedzin, a nie ma żadnej przeciwwagi, poza policyjną. A to — mało!

W zestawieniu z olbrzymią ilością przedmiotów naukowych, przytłaczających obecnie nasze szkoły wiadomościami o szerokim świecie, powinienby dzisiaj, wobec przerażającego obniżenia poziomu etycznego wszystkich warstw ludności, znaleźć poważne miejsce kompleks wykładów specjalnych, pouczających dzieci, od początku, prawd prymitywnych, lecz dziś już zupełnie nieaktualnych w życiu: Nie zabijaj, nie kradnij, kochaj bliźniego i czcij rodziców — żeby już nie żądać za dużo i nie być zbyt teologicznym! Bo i gdzież tu jest miejsce na Boga, kiedy i daleko bliższe, zupełnie osiągalne prawdy zostały na uboczu?

Rozdrażnienie, podminowujące jakgdyby całe nasze życie, niewątpliwie ma swoje odpowiedniki i przyczyny w przejściach wojennych, a więcej jeszcze zapewne — powojennych, jakie nas wszystkich, bez różnicy przekonań i stanów, kosztowały aż nadto wiele nerwów i zdrowia. Spadki waluty, ruiny przedsiębiorstw, ustawiczna huśtawka wdół i w górę przemian państwowych — absolutnie nie mogą odbić się na ludności dodatnio; poza tem, sprzyjają znakomi-

cie, jak każde bezkrólewie, rozplenianiu się właśnie bandytyzmu i oszustwa.

Kiedyś, kiedy jechałam z New Yorku do Chicago, osławionego, jako najbardziej bandyckiego miasta na kuli ziemskiej, uprzedzano mnie jeszcze na dworcu, że takim właśnie jest; i nie mogłam się potem wydziwić, że, mimo wszystko, w tem właśnie złodziejskiem mieście gospodynie, jak w sieiankowych opowiadkach, zostawiają swego dolara na okienku kuchennem dla mleczarza i zielennika, który z niego sobie odbierze należność, obchodząc klientelę od ranka, kiedy panie jeszcze śpią; albo że gazeciarz zostawia sobie na rogu stragan pełen gazet, przytrzymywanych kupkami centów, i przechodzień bierze sobie taki dziennik z lady, zmienia, jeśli musi, centy, i nikt nie myśli, że ukradł. Nie mogłam się nazachwycać, że na szosie stoją przed ogrodami przydrożnych farm, ukrytych w głębi ogrodów, stragany z najpiękniejszymi owocami, bez żadnego dozoru, tylko z ceną za każdy gatunek na patyczku. Jadąc autobusem czy autem, przystawaliśmy, braliśmy, kładliśmy nasze centy i jechaliśmy dalej. Mój Boże! I to była okolica bandycka! Nie mówiąc o tem, że można było chodzić w dzień i w nocy po parkach i najodleglejszych ulicach i nikt nie zaczepiał i nie wymyślał w razie konfliktu, motorniczy zawsze zatrzymał, kiedy się skinęło na autobus, i z urzędu dopomagał kobietom wsiąść, a policjant przeprowadzał w razie tłoku aut przez jezdnię każde dziecko, które do niego leciało, jako do stacji ratunkowej, w każdym trudnym wypadku swego życia.

Marzyłabym najgoręcej, aby w naszej uprzejmej Polsce, gdzie skargi publiczności na motorniczych, szoferów i funkcjonariuszy wszelkiego typu (począwszy od własnego dozorcę), są chlebem codziennym każdej gazety brukowej — ażeby ta Polska kiedykolwiek i w części bodaj dorównała nie już uprzejmości, ale życzliwości ulicy amerykańskiej, nawet w jej tak bandyckiem mieście, jakim jest Chicago! Bo grozi nam poważnie, że, nie pozbywając się bandytyzmu i oszustwa — które, wprost przeciwnie, rozwija się znakomicie — wyzbędziemy się naszego dotychczasowego atutu, podnoszonego przez historję: uprzejmości. I będziemy mogli ją oglądać conajwyżej w Muzeum Narodowem, jako właśnie... zabytek historyczny! •



„ŚWIĘTA KUCHARKA“^(*)

Jedna opowieść o kucharce Rozalji, wymierającym typie służącej-domownika. Wrasta ona w rodzinę swych chlebodawców, staje się tej rodziny nieodłącznym organem; pod szorstkim naskórkiem prostactwa i gburowatości ukrywa prawdziwe skarby wrodzonego instynktu pracy, poczucia obowiązku,ładu, równowagi, pogody, niewyczerpane zasoby zdrowia fizycznego i moralnego, którem góruje nietylko nad swoją sferą, ale i nad „państwem“, ludźmi o przeczulonych nerwach, pozbawionymi poczucia rzeczywistości, typowymi inteligentami, których aspiracje o wiele przerastają ich siły.

Rozalja jest kucharką z powołania, racją jej istnienia jest wierna służba: napięcia jej zapału w półwiecznym sprawowaniu obrzędów karmicielskich nie mogą osłabić żadne jej osobiste, czy rodzinne konflikty. „Świętość“ Rozalji polega właśnie na tym całkowitem, bez reszty oddaniu się swemu obowiązkowi. Ta pocziwa, energiczna, w miarę pyskata baba, to prawdziwa bohaterka codziennej, szarej pracy, uparcie wnosząca pierwiastek uczuciowy w dziedzinę czynności domowych, z której coraz bardziej wypiera go zmechanizowanie. Niestety! żaden automat nie zastąpi serca. I my dziś, stojąc na progu nowej ustawy o służbie domowej, w przededniu przewartościowania stosunków ustalonych i zaśnieżonych obyczajów, z żalem żegnamy znikający w mrokach przytułku dla starców cień „świętej kucharki“, mocnej w garści i w gębie, dobrej do roboty, chętnej do rady.

Męczeński epizod Antka, syna Rozalji, w zakładzie poprawczym, jaskrawym realizmem zaćmiewa monotonne losy matczyne. Niewątpliwie miałby on znaczenie rewelacyjne, gdyby powieść została ogło-

szona zaraz po jej napisaniu, to znaczy na rok blisko przed słynną sprawą Studzieńca. Niezależnie od przesunięcia momentu aktualności, epizod ten pozostanie zawsze cennym dokumentem życiowym, z którego bije naga prawda faktu, niecedzonego przez żadne sita konwenansów.

Autentyczność postaci, zdarzeń, nawet słów i zwrotów „Świętej kucharki“ nie potrzebuje dowodów, jest oczywista. Szczególniej dialogi sprawiają wrażenie rzeczy podsłuchanych. Szkoda, że całe otoczenie Rozalji, świat kuchni, targu, magla i ulicy nie został przedstawiony z jej punktu widzenia. Byłby to ciekawy, ale kłamliwy eksperyment artystyczny. Niewątpliwie zatraciłby się w nim ten wdzięk bezpośredniości, to indywidualne rozmiłowanie się w soczystych barwach, z jakim autorka maluje (po mistrzowsku zresztą) wnętrza hal, jatek, sceny kuchenne. Te „martwe natury“, bardzo dyskretnie zresztą i oszczędnie wplecione w losy Rozalji, mają głęboki ton flamandzkich malowideł.

Ale poza temi, nielicznymi kartkami, gdzie autorka daje folgę swoim plastycznym skłonnościom, z książki przemawia życie „własnymi słowami“. To nie jest destylat rzeczywistości — to jej surowizna, pełna witamin, których nie wyjałowilo żadne transponowanie na t. zw. „sztukę“, żaden mozolny proces kompozycji. Autorka nie dba o konstrukcję, świadomie nią pogardza. Jej powieść komponuje się sama, płynie tak, jak życie, zachowując właściwe mu tempo, nieobliczalność jego prądów, irracjonalność zwrotów. Wszystkie postacie i zdarzenia są postawione na jednym planie, wszystkie są jednakowo ważne w życiu Rozalji, zarówno jej syn Antek, jak anemiczna i płaczliwa panienska Adelcia. Ta Adelcia, raczej bierny widz zdarzeń, niż ich czynny uczestnik, zdaje się zawierać w sobie jakieś mgliście się zarysowujące potencje uczuciowe, które niewątpliwie autorka postara się w przyszłości wydobyć i wyzyskać. To pierwszorzędnny materiał na heroinę nieprodukcyjnej fikcji, na męczennicę bierności — antyteza Rozalji, która jest bohaterką czynu, uosobieniem dynamicznych wartości życia.

Powieść, pisana z czarującą niedbałością techniki, z pominięciem psychologicznej perspektywy, otwiera jednak przed czytelnikiem głębię zagadnień społecznych, nie zamaskowaną żadnymi iluzorycznymi próbami ich wyrównania. Autorka jest pełna zmysłowego kultu zjawiska, jako zjawiska, ujmuje je gołą ręką, nieuzbrojoną w demagogję, publicystykę, czy liryzm. Jeżeli wytrwa na tej drodze bezpośredniego chwywania życia na gorącym uczynku, może stworzyć swój własny rodzaj pisarski.

Stefania Podhorska-Okolów.

*) Wanda Sztekkerowa (Melcer-Rutkowska): „Święta kucharka“. Warszawa 1950. F. Hoesick.



Wanda Melcer-Sztekkerowa.

ZOFJA JANKOWSKA

Bardzo często spotykamy się ze zdaniem, że kobiety, mające „dom“, męża i dzieci, nie powinny pracować społecznie, gdyż staje się to kosztem domowego ogniska.

Pięknem, niezwykle zaprzeczeniem tego twierdzenia jest — Zofja Jankowska.

Oto od roku 1905 ta Wielka Bohaterka tworzy na Kresach zakonspirowaną sieć szkół początkowych (Brześć, Równo, Winnica). W samym Brześciu, w mieszkaniach prywatnych, na przedmieściach i w sąsiednich majątkach ziemskich (pani Zofja Ursyn Niemcewiczowa) uczy się tajnie kilkaset dzieci w języku polskim i przygotowuje do przyszłej funkcji obywatela - polaka w przyszłej „wolnej“ Ojczyźnie.

W roku 1920, podczas największych prześladowań bolszewickich, pomimo gremjalnych powrotów do kraju innych współpracujących z nią osób, pracuje wyteżenie w „Polskiej Macierzy Szkolnej“, bo praca oświatowa się potęguje i staje się z latami jej ukochaniem. I nie na tej pracy społecznej nie traci Jej „dom“ i Jej dzieci. Pracując tak intensywnie dla ogółu, potrafi Ona dać swej gromadce ciepło gniazda rodzinnego, o którym rozproszeni teraz po świecie wspominają ze czcią, jako o czemś niezastąpionem, o czemś, co dało im — według słów Wieszcza — „dzieciństwo sielskie - anielskie“ i przepoiło ich uczuciem patriotyzmu i moralnymi zasadami, które przygotowały podwaliny młodości „górnjej“, choć „chmurnej“.

W roku 1920 sześcioro broni granic Rzeczypospolitej na różnych placówkach, a jedna z córek dostaje Krzyż Walecznych.

Więc można pogodzić pracę społeczną z obowiązkami matki? Tak — trzeba tylko umieć... kochać. I to nie tak zwyczajnie, przeciętnie, powierzchownie, a „tak“ głęboko i „prawdziwie“.

*

Czy może być piękniejsza cecha kobieca, nad ukochanie dziecka? I tu przykładem świecić nam może Zofja Jankowska. Oto całe Jej życie wypełnia myśl o dziecku. Dla dzieci swoich, dla dzieci polskich pracuje do ostatniej chwili życia.

Nawet w więzieniu bolszewickim, nawet tam, w nieopalonej celi, w przerwach między badaniami, jakim podlegała, w przerwach między torturami moralnymi, jakie znosić musiała — nie zapomina o dzieciach swoich i o dzieciach polskich.



ś. p. Zofja Jankowska.

Oto... sprowadza do celi 6-letnią córeczkę jednej z dozorczyń (polki) i mówi jej... o Polsce i... uczy piosenek polskich... A dwie młodzianki nauczycielki szkół „Macierzy“, aresztowane i osadzone z Nią we wspólnej celi, uczy z zapalem, jak mają chować dzieci, jak mają je uczyć, jak mają się z nimi bawić, by wywołać uśmiech na usta dziecięce i stworzyć szczęśliwe dziecko, któremu może dom tego szczęścia nie daje...

Stało się więc dobrze i sprawiedliwie, że w dniu 28 czerwca 1929 roku nazwano jedną ze szkół powszechnych w Brześciu Imieniem Zofji Jankowskiej, że na ścianie szkolnej zawieszono portret Zmarłej, a w małej gablotce pomieszczono Jej życiorys, dwie fotografie z pobytu w czerezwyczejce i Krzyż Virtuti Militari, nadany Jej po śmierci przez Naczelnego Wodza.

Stało się dobrze i sprawiedliwie, że dzieci Brzeskie będą ją kochać: że będą kochać Tę, co je tak bardzo kochała; i że będą wiedzieć, iż dawniej (kiedy jeszcze Polska była w niewoli) za znalezione strzępek polskiej pieśni narodowej szli ludzie na długie lata więzienia; że będą rozumieć, co groziło ich Wielkiej Opiekunce, która je uczyła i tak kochała...

*

Mówiąc o tych dwóch cechach Jej charakteru, nie mogę nie wspomnieć jeszcze o jednej, niezwyklej, a której nam, kobietom współczesnym, brak.

Przeciętnie, każda z nas jest w mniejszym lub większym stopniu sybarytką. Nie będę już nawet mówiła o „paniach“, które robią awanturę o „niewygodne miejsce w wagonie“, o „nie-słoneczny pokój w pensjonacie“, o „za ciasne pantofelki“. Nie będę o nich mówiła. Będę mówiła o przeciętnej kobiecie, której przeszkadzają w życiu setki przyziemnych małości i wywołują „zniechęcenie życiowe“, bolesne skrzywienie twarzy, przygnębiający nastrój domu i multum codziennych katastrof szarego, zwykłego dnia.

A spójrzmy na ostatni rok życia Zofji Jankowskiej. Ziemianka i żona inżyniera na wybitnym stanowisku, kobieta, przyzwyczajona do dobrobytu — znajduje się w nędzy. Sprzedaje na targu (osobiście) sprzęty domowe i ubrania za mąkę, za kaszę... aby nakarmić matkę staruszkę... Ale cóż znaczy ta nęda wobec straty męża, którego tak bardzo kochała? Wobec lęku o dzieci, które walczą na froncie? Wobec lęku o córkę, która jest czynnym członkiem P. O. W. i może być lada chwila aresztowana?

Ta nęda w oczach „Tej Kobiety“ nic nie znaczy, to jest rzecz „podrzedna“... Starczy Jej jeszcze życiowego hartu na pracę w „Macierzy Polskiej“, na przechowywanie w swym domu emisariuszy, przyjeżdżających z Kraju, na odważne odebranie córce przy rewizji papierów „kompromitujących“ i ukrycie ich pod grubą, welnianą chustą, którą była osłonięta. Starczy Jej jeszcze życiowego hartu na piosenkę polską, podczas styczniowych mrozów w więzieniu nieopalanem, o wybitych szybach. Starczy go Jej na odważne patrzenie w oczy śmierci, bo widocznie „tak trzeba“. Więc w ostatniej chwili przed rozstrzelaniem jest spokojna, skupiona i... modli się.

Jakże smutnie przedstawiają się wobec tego bohaterstwa spartańskiego nasze „małe“ troski, którymi zatruwamy sobie i bliskim życie!

*

W dziesiątą rocznicę męczeńskiej Jej śmierci odbyły się dnia 6-ego marca nabożeństwa żałobne w Warszawie, Paryżu, Krakowie, Łucku i Brześciu. Uczczono pamięć Zmarłej, Wielkiej Kobiety - Polki. A my, zwykłe kobiety, starajmy się uczcić Jej pamięć, wypełniając jakoby duchowy Jej testament, który zawarła w liście, pisany do dzieci z więzienia w cz. k.

„...Pamiętajcie, że aby żyć godnie na ziemi, trzeba się od tej ziemi odrywać i do czegoś wyższego dążyć“.

J. Putiatycz-Surynowa.

Z TEATRÓW

TEATR NOWY:

„Kochankowie z Werony” — tragedia romantyczna w 3 aktach
Jarosława Iwaszkiewicza. Reżyserja Janusza Warneckiego.
Dekoracje Wincentego Drabika.

W krążanku jednego z klasztorów na przedmieściu Werony pokazują pusty sarkofag bez wieka, w którym, podobno, spoczywały zwłoki Romea i Julji. Dziś szeleszczą tam, jak liście jesienne, stopy pośliskłych kartoników. To snobi wszystkich ras i krajów składają w żalobnej urnie... swoje bilety wizytowe. Jakgdyby mściwa ironja losów zmieniła prochy kochanków w bezduszny papier.

„Kochankowie z Werony” — to właśnie taki bilet wizytowy, jaki sceptyczna współczesność składa legendzie romantycznej. To nie płomień krwi, nie wybuch namiętności, nie skondensowany ekstrakt świadomego przeżycia uczuciowego, ale owoc filozoficznej zadumy nad bezsilnością miłości, która niezdolna jest z dwojga ludzi uczynić jedno. Wraz ze spełnieniem umiera tęsknota. Miłość, niezasilana swem jedynym źródłem, usycha, więcej nawet: przeradza się w nienawiść. W istotach ludzkich, które przez chwilę były jednym ciałem i jedną duszą, budzą się odmienne indywidualności, zaostrzają się konflikty rodowe, które na wieki przekreślić miała miłość.

Zamiast kochanków stają naprzeciw siebie wrogowie. Miłość ich zawiodła, nie pozostaje więc im nic innego, jak zginać z własnej ręki. Nie jest to jednak samobójcza śmierć dawnych kochanków z Werony, którzy, nie mogąc zwalczyć zewnętrznych przeszkód swej miłości, odeszli po to, aby połączyć się z sobą w lepszym świecie; ale pojedynek wewnętrznych irracjonalizmów uczucia, likwidujący zarówno odwieczną zemstę dwóch rodów, jak odwieczny zatarg między mężczyzną, a kobietą — nierozwiązalną tragedję miłości.

„Kochankowie z Werony” tworzą zatem pewnego rodzaju ideowe „pendant” do jednocześnie, zbiegiem okoliczności, wystawianego „Domu Kobiet” Nałkowskiej. I tu i tam autorzy odmiennymi drogami dochodzą do pesymistycznego wniosku, że nawet miłość nie zdoła wypełnić przepaści, dzielącej od siebie dwoje ludzi. Nałkowska przeprowadza tę tezę na terenie życiowego faktu. Iwaszkiewicz — na drodze abstrakcyjnej, w celowo konwenansowej formie literackiego symbolu.

Z natury rzeczy, w utworze tego typu retoryka góruje nad akcją. Romeo i Julja — to nie ludzie tej lub innej epoki: to wielone zagadnienia. Ich teoretyczną bezcielesność za mało podkreślała staranna, ale z założeniem utworu nie mająca nic wspólnego, gra artystów: Smosarkiej i Warneckiego. Pięknie wystudjowane pozy były miłe dla oka, ale prowadziły na błędną drogę i tak zdeзорjentowanego widza.

Dekoracje Drabika miały nam dać złudzenie tej parnej, jesiennej nocy włoskiej, która się skończyła depresją. S. P. O.

KSIĄŻKI NADESŁANE
DO REDAKCJI

KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA.

Wacław Borowy: „Gilbert Lerth Chesterton”. Kraków. 1929.
Stanisław Windakiewicz: „Jan Kochanowski”. Kraków 1950.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

łożyła Antonina Sokolicz.

Upton Sinclair: „Nafta”. 2 tomy. Z upoważnienia autora prze-

Ernest Glaeser: „Rocznik 1902”. Z upoważnienia autora przeł. Aleksander Watt.

Frank Heller: „Pan Collin jest zrujnowany” — powieść. Z upoważnienia autora przeł. Witold Zechenter.

James Oliver Coormood: „Płonący las”. Przekład autoryzowany Jerzego Marlicza.

Rodion Markovits: „Syberyjski garnizon”. Przeł. z upoważnienia autora dr. J. P. Zajączkowski. (2 tomy).

Franciszek Mauriac: „Teresa Desqueyrons”. Przeł. z upoważnienia autora Marja Wańkowiczowa.

Kwiryn Szwadski: „Szalona Miłość” — romans.

Józef Berski: „Sacha”.

NAKLAD KSIĘGARNI F. HOESICKA

Mieczysław Sterling: „Fra Angelico i jego epoka”. 1950.

Marja Kossak-Pawlikowska: „Profil białej damy”.

Irena Tuwim: „Miłość szczęśliwa”.

Jan Emil Skiwski: „Człowiek wśród potworów” (Peregrynacje).

Marja Znatowicz-Szczepańska: „Wiosna i lato”.

Ludwik Hieronim Morstin: „Radość i frasunek”.

Leon Koppens: „Cichośnienia”.

Józef Czechowicz: „Dzień, jak codzień”.

Włodzimierz Słobodnik: „Nowa Muza”.

Magdalena Samozwaniec: „O kobiecie, która znalazła kochanka”.

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE”

Henryk Mann: „Minerwa” — powieść.

„ „ „Diana” — powieść — przełożył Marceli Tarnowski.

„ „ „Wenus” — powieść — przełożył Marceli Tarnowski.

Gunnar Gunnarson: „Ludzie z Borg” — powieść — przełożył Leopold Staff.

BIBLIOTEKA GROSZOWA.

W. Jerofiejew: „Dach świata” — tom I i II.

Teodor Dreiser: „Tragedja Amerykańska” — Tom I „Tęsknota”, tom II „Zbrodnia”, tom III „Kara”.

Z KSIĄŻEK

Ernest Glaeser: „Rocznik 1902”. — Przekład Aleksandra Watta, nakładem „Roju”.

Powieść ta uchodzi za pendant do Remarque’a „Na Zachodzie bez zmian”. U Remarque’a — front, u Glaesera — „Hinterland”. Jakieś prowincjonalne miasto niemieckie, zakrzepłe w swoich formach i przekonaniach, pokryte jakby pleśnią zbudowanych przekonań. Ideały pruskie ujęte już w kanony, i jeszcze trochę zwietrzałego romantyzmu, i jeszcze trochę nieprzyzwoitego liberalizmu. Tymczasem grupa dzieci obojga płci budzi się do życia animalistycznego, odczuwa głos natury, i wieś Wedekindowskie porywy.

Podobno ten motyw książki Glaesera ma szczególną wartość dla freudystów, gdy natomiast pacyfiści znajdują w powieści tej ilustrację dla swoich przekonań. Jest nią głód, okrutny towarzysz wojny. Ten głód, który przeobraził duszę niemiecką, zrewolucjonizował ją, ten głód, który spowodował klęskę na froncie, a rozstrój w kraju po klęsce. Karmione kartoflanym chlebem, wojenne pokolenie Niemiec dojrzewa jakoś inaczej, karłowacieje moralnie.

Glaeser potępia wojnę, potępia przedwojenny réżime, metody wychowawcze niemieckiego społeczeństwa, jego patetyczne zakłamanie. Jest to ciekawy dokument przeciw Niemcom, ale głód dzieci, starców i kobiet przemawia do uczuć wszystkich. Książka ta zwalcza więc pośrednio także i szowinizm. Litujemy się, współczujemy, nie możemy już pamiętać, że to — Niemcy.

H. N.

Kobieta w świecie i w domu

UCZCZENIE PAMIĘCI LEONJI RUDZKIEJ.

W ubiegłym tygodniu odbyła się w sali Rady Miejskiej uroczysta akademja ku czci ś. p. Leonji Rudzkiej, zasłużonej działaczki społecznej i pedagogicznej, długoletniej przełożonej pierwszorzędnego zakładu naukowego żeńskiego.

Leonja Rudzka wychowała szereg pokoleń, to też sala Rady Miejskiej zgromadziła tłum jej dawnych uczennic, które oddały hołd pamięci umiłowanej przewodniczki.

KURS DLA INSTRUKTOREK.

Kurs dla instruktorek, pracujących w Kołach Gospodyń Wiejskich w C. T. O. i K. R. i w Stowarzyszeniu Ziemianek, zorganizowany został przez Biuro Współpracy z Instruktorami Rolnymi przy Wydziale Rolniczym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i Wydział Gospodyń C. T. O. i K. R., w dniach 20 — 22 marca r. b.

W kursie wzięły udział 53 instruktorki, które zjechały się z całej Polski, nie wyłączając dalekich kresów. Wykłady prowadzili prof. Rostafiński, Trybulski, Mikułowski-Pomorski, Gorjaczkowski, S. Dąbrowski, dr. Kacprzak, inż. Pietrzak., pp. Karczewska i Dochówna, wzbudzając duże zainteresowanie i wywołując żywą dyskusję, zmierzającą do ciągłego udoskonalania metod pracy instruktorskiej.

PIERWSZA KANDYDATKA NA POLSKIEGO MINISTRA.

Przesilenia polityczne, których widownią stał się od dłuższego czasu Sejm, przyniosły w pewnej chwili koncepcję, utworzoną poraz pierwszy w polskich dziejach parlamentarnych: wysunięto kandydaturę kobiecą na ministra. P. marszałek Senatu Szymański, tworząc gabinet, powołał doń panią Zofję Moraczewską, jako ministra Pracy i Opieki Społecznej. Gabinet ten nie doszedł do skutku, wobec niezaakceptowania jego warunków przez Sejm, niemniej jednak sam fakt powołania przez czynniki miarodajne kobiety w skład rządu pozostaje ważny.



Zofja Moraczewska.

Pani Zofja Moraczewska jest przewodniczącą Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, znaną i zasłużoną od lat wielu działaczką społeczną.

DZIAŁALNOŚĆ WOJEWÓDZKIEGO TOWARZYSTWA POPIERANIA PRZEMYSŁU LUDOWEGO W NOWOGRODKU.

Powstanie przed 2-ma laty Nowogródzkiego Towarzystwa Przemysłu Ludowego wypełniło dużą lukę, dającą się odczuwać na terenie Nowogródziny, zarówno w dziedzinie kulturowania przemysłu ludowego o dużych artystycznych walorach, jak pobudzenia i zorganizowania wytwórczości chałupniczej, dającej możność zarobkowania miejscowej gospodyni wiejskiej na posiadanym przez prawie każdą z nich warsztacie tkackim, wreszcie popierania uprawy lnu na tych terenach ze wszechmiar nadających się do tej uprawy.

Prace swoje Towarzystwo poprowadziło przedewszystkiem w kierunku ustalenia stanu faktycznego w zakresie uprawy i zasiewu lnu, stanu przemysłu tkackiego i ceramicznego pod względem wydajności ilościowej i jakościowej, oraz zorganizowania większych ośrodków tkackich i ceramicznych i przystosowania ich do przyjmowania większych obciążeń, wreszcie wynalezienia nowych i rozszerzenia starych (niestety, nielicznych) rynków zbytu dla artykułów tego przemysłu.

W ciągu niedługiego okresu swego istnienia Towarzystwu udało się pracę swą posunąć znacznie naprzód. Ustalono ilość osób, trudniących się tkactwem na terenie Województwa Nowogródzkiego, na ogólną ilość 89.000 osób, o wartości produkcji rocznej w przybliżeniu około 10 milionów złotych; ilość osób, trudniących się garncarstwem, na 400 osób, o wartości produkcji 350 tysięcy złotych; wreszcie, ogólną ilość osób, trudniących się wogóle przemysłem domowym chałupniczym, na 97.000, o wartości przybliżonej 15 milionów złotych rocznie. W zakresie uprawy lnu w roku ubiegłym ustalono powierzchnię zasiewu na przeszło 15 tysięcy ha, zbiory włókna na 71.055 cent. metr., zbiory nasienia na 110.659 cent. metr.

W zakresie organizacji tego przemysłu, rozrzuconego po chałupach wieśniaczych, zorganizowano zgórą 400 lepszych ośrodków tkackich i ceramicznych.

W dziedzinie bardzo ważnej, propagandy Towarzystwo poszło drogą organizowania pokazów, najpierw miejscowych, z nagrodami za najlepsze wyroby, których odbyło się po kilka w każdym powiecie; następnie wzięło udział w Wystawie Wileńskiej, na której zostało odznaczone Dużym Medalem Złotym, potem na Powszechnej Poznańskiej, gdzie uzyskało Dyplom Uznania za całokształt pracy nad rozwojem tkactwa ludowego.

Rezultatem powyższej propagandy jest przedewszystkiem podniesienie poziomu wyrobów tkackich, następnie wypierana zostaje bawelna, jako produkt przywozowy, i zastępowana przez produkty własne, jak len i wełna, wreszcie połączonymi siłami Towarzystw przemysłu ludowego Nowogródzkiego, Wileńskiego i Poleskiego osiągnięto, że zwróconą została uwaga czynników miarodajnych oraz szerszej publiczności na tę dziedzinę wytwórczości artystycznej naszych Ziemi Wschodnich, nie ustępującą w swej krasie wyrobom ludowym łowickim, zakopiańskim i innym. Jednocześnie wytwórczość ta może mieć szerokie zastosowanie w dziedzinie artykułów lnianych białych, na przykład bieliznianych, tak na rynku ogólnym jak przy zaopatrzeniu armji; odpowiadałoby to jednocześnie ogólnej polityce państwowej: popierania wytwórczości krajowej.

Niestety jednak, świadomość tego jest jeszcze za mała, rynek zbytu zbyt szczupły, nieodpowiadający podaży; istnieje konieczność niesłabnącej pracy w kierunku uświadomienia i propagandy.

W tym celu Towarzystwo zorganizowało obecnie wystawę swych wyrobów w Warszawie. Pokaz ten, aczkolwiek zakrojony na niewielką skalę, przynosi już poważny dorobek. Niezwykle piękne tkaniny ludowe odznaczają się trwałością i wyjątkowo przystępnymi cenami.



Kamaldevi Chattopadhyaya.

HINDUSKA NA ARENIE POLITYCZNEJ.

Rozwijający się oddawna ruch wolnościowy w Indjach przybrał obecnie rozmiary powszechnej i groźnej demonstracji przeciwko rządowi angielskim. Prorok Indyj, Ghandi, rzucił hasło biernego, lecz ogarniającego wszystkie dziedziny życia, oporu przeciwko władzom angielskim. Wszędzie odbywają się manifestacje, ogarniające setki tysięcy ludności.

W ruchu tym kobiety hinduskie biorą gorący udział. Hinduski wyzwalają się szybko politycznie. O ile bowiem były dotychczas krępowane różnymi, okrutnymi nieraz, prawami rodzinnymi, o tyle nie mają ograniczeń obywatelskich, z tej prostej racji, że nie były one w ustawach wymienione, nikt bowiem nie przypuszczał, aby kiedykolwiek były potrzebne.

Jedną z pierwszych rzecznicek i obrończyni ruchu niepodległościowego Indyj i ruchu kobiecego została teozofka angielska Annie Besant; obecnie znalazła ona już wykonawczynie swych wskazań wśród kobiet hinduskich. Podczas manifestacji wolnościowych w Bombaju, przewodniczka ruchu kobiecego w Indjach, pani Kamaldevi Chattopadhyaya przemawiała na licznych zgromadzeniach i rozpoczęła program uroczystości wzniesieniem sztandaru Indyj niepodległych.

INSTYTUT GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Na zebraniu organizacyjnym Instytutu, tymczasowa Komisja organizacyjna zdawała sprawozdanie ze swych prac, odczytano i przyjęto Statut Instytutu, którego program obejmuje:

a) Nauczanie w formie wykładów i kursów gospodarstwa domowego wszelkich kategorii, odczytów, tworzenia księgozbioru, czytelní, wydawania książek i wydawnictw periodycznych z zakresu ekonomiki domowej.

b) Udzielanie porad w zakresie gospodarstwa domowego.

c) Prowadzenie doświadczeń z wszelkich działów gospodarstwa domowego, opracowywanie wzorów, ocenianie i cechowanie sprzętu domowego.

d) Wpływanie na budownictwo krajowe w celu racjonalnego planowania domów rodzinnych.

e) Ogłaszanie konkursów, prowadzących do udoskonalenia gospodarstwa domowego.

f) Tworzenie wzorowych doborów sprzętów i urządzeń z zakresu gosp. domowego i urządzenie pokazów i wystaw.

g) Popieranie zrzeszeń, pracujących nad podniesieniem gospodarstw domowych, itd.

Do Zarządu Instytutu wybrane zostały panie: S. Szumlakowska, jako przewodniczka; Iza Mandukowa, wiceprzewodniczka; Kolakowska, skarbniczka i A. Choromańska. Dyrektorką została p. Huberowa.

Siedziba Instytutu jest narazie przy ul. Narbutta (róg Kazimierowskiej) w lokalu Koła Studjów Gosp. Dom.

O CHRZESTNE MATKI.

Sekcja opieki nad dzieckiem i matką przy Kole Pracy Kobiet powzięła projekt powołania szerokich sfer kobiecych na chrzestne matki opuszczonych niemowląt. Wszyscy pamiętają, jakie usługi oddały chrzestne matki żołnierzom w czasie wojny. Każda kobieta może znaleźć chwilę czasu, aby uszyć dla biednego dziecka jakiś drobiazg, przerobiony z nieużytecznych już rzeczy domowych, lub dać mu jaką drobną pomoc. Obowiązki te nie są uciążliwe i podjąć je można nawet czasowo.

Koło Pracy Kobiet opiekuje się, jako stowarzyszenie, dużą ilością dzieci zupełnych sierot, lub mających rodziców w ciężkich warunkach materialnych, ale ta opieka zbiorowa nie zastąpi indywidualnej. Serdeczne zajęcie się każdym pojedynczym dzieckiem, dobra rada udzielona jego matce, jakże duży wpływ mogą wywrzeć na przyszłość dziecka! To też Koło Pracy Kobiet prosi gorąco o zapisywanie się w poczet chrzestnych matek biednych dzieci.

RADCZYNIIE IZBY ROLNICZEJ.

W charakterze radczyń powołane zostały pp. E. Czarnowska, przewodniczka Stowarzyszenia Ziemianek, i M. Karczeńska, przew. Rady Naczelnej Gospodarczego wykształcenia kobiet. Obie panie brały udział w Komisji Szkolnej, przygotowującej przyszłe prace Izby Rolniczej.

RĄCZKI, PODAJĄCE POTRAWY, MUSZĄ BYĆ APETYCZNE.

Jeden z londyńskich instytutów piękności wprowadził humanitarną inowację: robi *bezpłatnie* manicure kelnerkom, pracującym w restauracjach, kawiarniach, sklepach gastronomicznych i t. p. Mr. Lyons wychodzi z zasady, że panienki te zarabiają zbyt skromnie, aby mogły pozwolić sobie na stałe utrzymywanie rąk w nieskazitelnej elegancji, co jest nieodzownym warunkiem w ich zajęciu.



Kelnerki angielskie, korzystające z bezpłatnego manicure.

NIEMKI A MY

Corocznie w lutym odbywa się w Berlinie zjazd rolników i gospodyń wiejskich, pod nazwą „Zielonego tygodnia”.

Osobiste zetknięcie z szeregiem wybitnych kobiet, poznanie ich działalności, obejrzenie najnowszych urządzeń gospodarczych oddawała mnie nęciło, to też postanowiłam wziąć udział w „Zielonym tygodniu”, a chcąc sobie zapewnić dostęp do najciekawszych centrów pracy, przeprowadziłam szereg korespondencyj wstępnych z ich kierowniczkami. Odpowiedzi były bardzo różne i znamienne.

Przedstawicielka środowiska naukowego dr. Silberkuhl-Schulte, kierowniczka Instytutu i lektorka działu gospodarstwa domowego przy Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, odpowiedziała ujmująco i serdecznie; p. Matylda Wolff, dyrektorka wydziału gosp. domowego wiejskiego w Izbie Rolniczej — powściągliwie, ale uprzejmie przyrzekła udzielić wszelkich informacji, uprzedzając jednocześnie, że większość zebrań jest odwołana z powodu ciężkiego położenia rolnictwa; p. Kneßner-Gerhardt, kierowniczka Związku Stowarzyszeń gospodyń wiejskich, odpisała poprostu, że w tym roku do Berlina przyjeżdżać nie warto, bo nic ciekawego dziać się nie będzie.

Te trzy listy charakteryzują doskonale środowiska niemieckiej pracy społecznej i nastrój ich względem Polski.

Mimo niezbyt zachęcających preliminarzy — pojechałam i ani przez jedną chwilkę nie żałowałam tego.

Pojechałam, bo już uprzednio poznawszy niektóre wybitniejsze niemki na kongresach międzynarodowych, podziwiałam ich wykształcenie, wielką ambicję narodową i rozmach w pracy, organizowanej systematycznie i metodycznie. Te zalety przeciwstawiają się tak rażąco naszym brakom, z których powinnyśmy koniecznie zdawać sobie sprawę, że należało uchwycić na gorąco sposoby pracy, aby wiedzieć, jakimi drogami zwalczać nasze braki społeczno-organizacyjne.

W parę godzin po przyjeździe znalazłyśmy się z moją towarzyszką, p. Przesmyką, przedstawicielką Koła studjów gosp. domowego, na wielkiem zebraniu z mieszaną publicznością kobietą i męską, zgromadzoną w liczbie paru tysięcy członków towarzystw rolniczych z całych Niemiec. Pierwszy odczyt dotyczył cen zbóż i mniej nas interesował; natomiast drugi przykuł odrazu uwagę, gdyż zarówno treść, jak i forma dały nam poznać wybitnego myśliciela, głębokiego społecznika i utalentowanego mówcę — dr. Münzingera.

Tematem jego referatu był „problem chłopki”: przesunęły się przed nami cienie życia, pograżonego w znoju i pozbawionego radości, tak dobrze znany i tylokrotnie przeżemnie obliczany osiemnastogodzinny dzień pracy, dzień niekiedy, a nawet często, tak przepełniony pracą po brzegi, że na wszystko czas musi się znaleźć — tylko niema go dla dziecka. Münzinger dochodzi do wniosku, że chociaż praca daje się rozciągać i ściągać, a staranność i dbałość w wychowaniu dzieci także może być duża, albo mała, ale ta elastyczność ma jednak pewne granice; gdy zaś kobieta przed tą granicą stoi, wtedy stara się zapobiec rodzeniu dzieci i stało się, że niemcy przestali

być narodem, rosnącym ilościowo, i nie są już nawet narodem o stałej liczbie ludności, ale zaczęli się cofać. Przyszłość państwa została zagrożona i to nie przez wojnę, bo strata 2 milionów poległych, 700.000, którzy zginęli z głodu, i 3 milionów, które się nie urodziły w czasie wojny — nie stanowi o zmniejszaniu się liczebności narodu; natomiast klęską jest brak woli do tworzenia nowego życia, bo bez niej naród ginie. W ciągu ostatnich 15 lat liczba urodzin spadła z 282 dzieci na 1000 ludności — do 172, a miasta odczuwają już brak dopływu zdrowej krwi chłopskiej, której wieś nie ma do oddania; liczba urodzin w ostatnich latach jest o 10 proc. za mała.

Cytuję ten ciekawy ustęp z referatu dr. Münzingera, bo jest on do pewnego stopnia odpowiedzią na kampanję, prowadzoną w tej chwili w Polsce na rzecz zniesienia karalności zabijania poczętego dziecka, jeśli względy społeczne lub inne tego wymagają.

Dr. Münzinger szuka dla kobiety innego wyjścia z ciężkiego położenia. Żąda odciążenia jej znoju, szczególnie w pracach najcięższych, do których zalicza dojenie krów (a więc to samo, co my tu podnosimy) i pracę w polu, a zwłaszcza motykowanie i kopanie. Żąda masowego zakładania ochron i przedszkoli, żąda pomocy materialnej dla kobiet, mających dużo dzieci.

Referat dr. Münzingera, odsłaniający ropiejące rany społeczeństwa niemieckiego, nie podobał się sali, zapelnionej wiejską publicznością, ale nie tą, której „problemu” dotyczył, lecz publicznością jeszcze dość majątną, którą stać na przyjazd do Berlina i zapewne stać jeszcze na dzieci; to też dyskusji po nim nie było prawie wcale, a paru mówców, którzy się odezwali, dotykało szczegółów bez istotnego znaczenia.

Nazajutrz od rana znalazłyśmy się w Heibandii: jest to instytut, istniejący dopiero od lat paru, ale świetnie zorganizowany i niesłychanie pożyteczny.

W centrum Berlina, na jednej z pryncypalnych ulic, w kilkunastu pokojach mieści się nieustająca wystawa wszystkiego, co należy do rozwoju gospodarstwa domowego. Każdemu działowi poświęcony jest przynajmniej jeden, a niektórym nawet parę pokoi. Mamy więc wzorownię sprzętu kuchennego. Najrozmaitsze modele szaf, stołów, stołków i krzeseł; kuchnie gazowe, spirytusowe, węglowe i naftowe; przybory i narzędzia do przyrządzania posiłku; maszyny i drobne sprzączki, nagromadzone aż w 4-ech pokojach. Duża sala poświęcona jest praniu, z kolekcją mechanicznych prałek, kompresorów, magli, sznurów do wieszania, desek i żelazek do prasowania. Duży dział obejmuje sprzęt do zaprawy i czyszczenia podłóg i mebli; oglądamy z zazdrością mnóstwo tanich i praktycznych przyborów, których u nas dostać nie można.

Dalsze pokoje poświęcone są kuchni doświadczalnej, kąpieli, sprzętom dla dzieci, ubraniom, podłogom i ich utrzymaniu, oświetleniu, materiałom spożywczym i ich wartości, książkom i wydawnictwom; pokój z wygodnymi fotelami zachęca do zagłębienia się w czytaniu i dobieraniu potrzebnych wydawnictw; wreszcie duża sala służy do zebrań i odczytów, a w każdej chwili może być zaopatrzona w odpowiedni sprzęt i zamieniona na laboratoryjną kuchnię do indywidualnej nauki.

Heibandi ma w tej chwili personel, składający się z 15-tu wykwalifikowanych instruktorek i dyrek-

torki. Od 10 — 6-ej przesuwają się przez wzorownie dziesiątki i setki osób; w każdym dziale czeka na nie miła i uprzejma instruktorka, która przedewszystkiem pyta się zwiedzających, czy mają jakie szczególne życzenie, czy też chcą się z wszystkim zapoznać, a potem objaśnia, pokazuje, odpowiada krótko, zwięźle i jasno na wszystkie wątpliwości i zapytania. Niekiedy przychodzą gremjalne wycieczki, np. nauczycielek gospodarstwa w szkołach powszechnych; często radzą się narzeczone, albo ich matki, co do wypraw i kupna urządzeń domowych dla młodej pary. Często przychodzą stroskane gospodynie po porady w sprawach dietytyki; przychodzą i fabrykanci zachwalając swoje towary, które jednak umieszczane są w wzorowni dopiero po długich, czasem rocznych próbach, kiedy eksperci nie mają już wątpliwości, co do ich wartości.

Heibandi założona została przez „Centralę związków gospodyń berlińskich”, której biuro mieści się o parę kroków od wzorowni. Centrala stanowi olbrzymią organizację, do której należy kilkaset filij — w samym Berlinie jest ich 40, a liczba członków dochodzi do 300.000. Centrala posiada więc Heibandi, gdzie prowadzona jest nie tylko wzorownia, ale także kursy i wykłady z zakresu gospodarstwa, oprócz tego zaś następujące organizacje: hotelik dla przyjezdnych; wydawanie tanich obiadów dla członków; sklep dla sprzedaży robót i rzeczy używanych; dwutygodnik, kasę pogrzebową i dziesiątki innych wydziałów, których wymieniać niepodobna.

Zaproszone na kawę (z odczytem p. Margis: „O kobiecie amerykańskiej”), miałyśmy możliwość bliższego poznania tej ciekawej organizacji i wzajemnie byliśmy wypytywane o stosunek polek do Niemiec i dowiedziałyśmy się, że na wiosnę przygotowuje się wielkijazd gospodyń miejskich w Gdańsku.

Zkolei muszę jeszcze wspomnieć o lektoracie gospodarstwa domowego w Szkole Głównej gospodarstwa wiejskiego. Lektorat ten nie jest ściśle związany ze studjum rolniczym, korzysta jedynie ze wspólnego pomieszczenia, sal wykładowych i laboratoriów. Istnieje on od lat dwóch dopiero i jest w tej chwili w okresie zmian i rozbudowy. Kurs jest roczny, nie daje żadnego stopnia naukowego, tylko prawo objęcia stanowiska kierowniczego w średniej szkole gospodarczej. Lektorat ten jest jednocześnie IV-tym wydziałem akademii społecznej i pedagogicznej pracy kobiet; aby zaś dostać się na ten wydział, trzeba mieć maturę, ukończoną szkołę gospodarczą, t. zw. „Maidenjahr”, i najmniej trzyletnią praktykę gospodarczo-nauczycielską.

Wydział posiada kuchnię doświadczalną i prowadzi tam specjalne, bardzo drobiazgowo studia; np. w tej chwili opracowywane jest zagadnienie rozmieszczenia sprzętów w kuchni, przyczem dokonano już około 400 przesunięć sprzętów, które są w tym celu zaopatrzone w kółka dla ułatwienia zmian. Ustalenie najlepszego rozplanowania kuchni nie jest ukończone i praca wymagać będzie prawdopodobnie jeszcze kilku miesięcy.

Nie podobna w jednym artykule opisać wszystkich konferencji, które prowadziłam z wybitnymi działaczkami niemieckimi; przechodzę więc do zestawienia pracy ich z naszą. Niewątpliwie przepaść jest olbrzymia, a najwydatniej zaznacza się różnica w stosunku społeczeństwa z obu sąsiadujących państw do samej natury pracy, gospodarczo-domowej.

W Niemczech — pełna ocena jej doniosłości, pomoc zarówno rządu, jak i przemysłu (środki na prowadzenie Heibandi), gruntowne przygotowanie, naukowe opracowanie przedmiotu, postawienie go w rzędzie najważniejszych zagadnień socjalnych. W Polsce — empiryczne trzymanie się staroświeckich formułek, zaniedbanie nauczania masowego dziewcząt, zupełne lekceważenie strony naukowej przez sfery inteligentne społeczeństwa i odsuwanie rozbudowy jej na odległą przyszłość przez rząd.

Pionierskie próby śmiałych reformaterek, jak p. Irena Szumlakowska, Mandukowa, Przesmycka i inne, zaczynają dopiero torować drogę do prowadzenia gruntowniejszych studjów i zainteresowania szerszego ogółu sprawami gospodarstwa domowego. Trzeba doprawdy wielkiej energii i rzetelnego poświęcenia, aby się u nas decydować na tworzenie Instytutu gospodarstwa domowego i na zapoczątkowanie wzorowni.

Przykład Niemiec, gdzie nie jednostki, a całe zastępy kobiet pracują nad zwyciężskim prowadzeniem już nie propagandy, ale systematycznej pracy, może i naszemu początkującemu Instytutowi (ul. Narbutta, róg Kazimierzowskiej) i Kołu Studjów gosp. domowego zjednać nowe zastępy współpracownic i sympatycek.

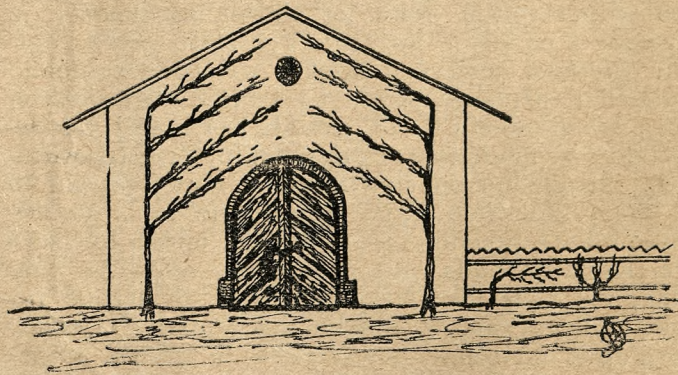
M. Karczmowska.

DRZEWA SZPALEROWE

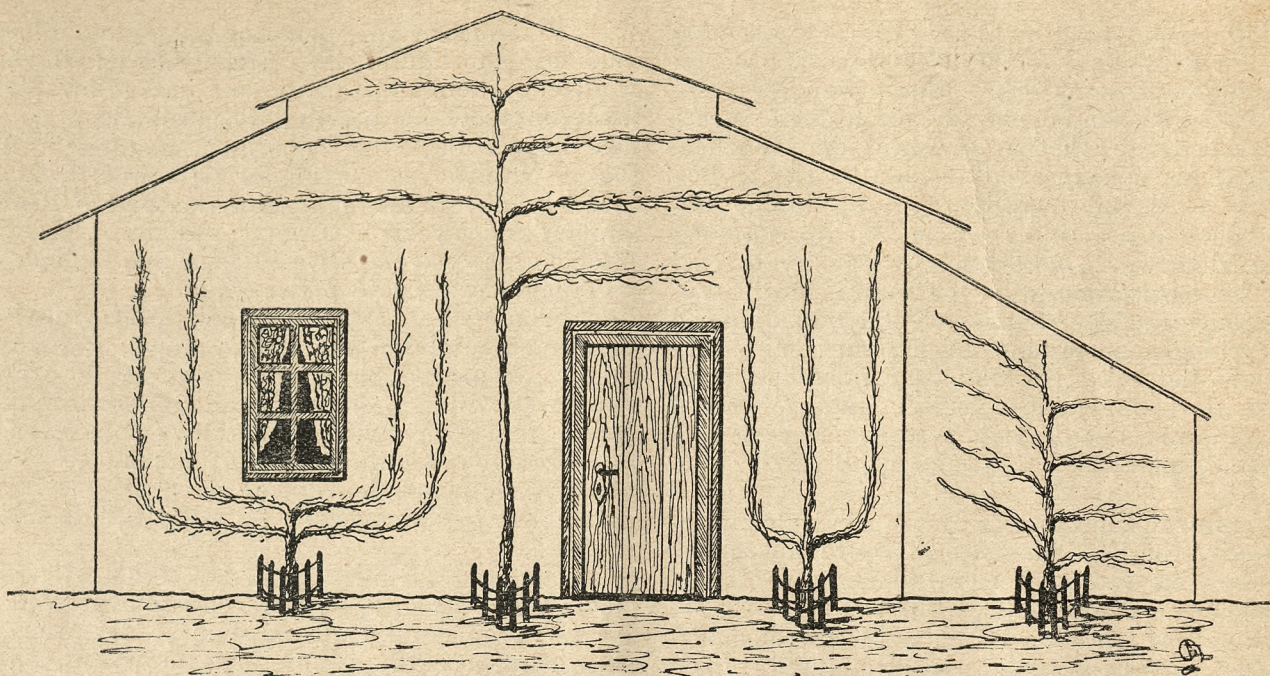
Ileż to murów i ścian domów naszych stoi nie wykorzystanych! Czy to na wsi, czy w mieście, gdzie tylko kto posiada jakieś obszerniejsze podwórko, lub nawet mały ogródek — pomyśleć powinien o upiększeniu swego domostwa, łącząc to równocześnie z pożytecznym zyskiem.

Chcę tu mówić o rozpinaniu na ścianach drzew owocowych, pomijając już piękny i estetyczny wygląd takiego zielenia okrytego domu, lecz mając na celu podniesienie produkcji owoców, zwiększenie dobrobytu poszczególnych właścicieli, a tem samem i kraju całego.

Nigdy na miejscach odkrytych owoce tak pięknie nie dojrzewają, nie są tak słodkie i soczyste, jak odpowiednio przycięte i do muru przytwierdzone. Ściana, wystawiona na działanie słońca — to bardzo cenny zbiornik ciepła. Drzewa, rozpięte na murach (czy ścianach drewnianych), nie są narażone na silne wiatry, strącające owoce, nie łamią gałęzi pod ich ciężarem, są odporniejsze na wszelkie zarazy; natu-



Drzewa rozpięte na budynku i murze.



Różne sposoby rozpinania drzew.

ralnie, o ile będziemy je traktować narówni z innymi i we właściwym czasie oczyścimy z liszek i zdezynfekujemy przy pomocy ogrodowego rozpylacza.

Najodpowiedniejszą ścianą będzie ta, która ma wystawę południową, następnie południowo-wschodnią i południowo-zachodnią; na nich świetnie dojrzewają winogrona, morele i brzoskwinie. W roku zeszłym bardzo wiele brzoskwiń wymarzło, ale był to rok wyjątkowy, który się trafił raz na całe dziesiątki lat; normalne zimy nasze, dochodzące do dwudziestu kilku nawet stopni, brzoskwiniom krzywdy nie wyrządzają. Ściany, wprost na wschód i zachód zwrócone, nadają się do plantacji gruszy i jabłoni.

Nie wiem, jakim rezultatem uwieńczone byłoby sadzenie drzew od strony północnej, trzebaby z tem przeprowadzić próby; we Francji, gdzie klimat jest znacznie łagodniejszy od naszego, widziałam doskonale prosperujące grusze („Bera Williams'a“, „Clapp's Favorite“), śliwy, szczególnie renklody, a nawet czereśnie i wiśnie. Czas dojrzewania ich jest opóźniony, lecz to nie tylko nie zmniejsza ich wartości, a przeciwnie — podnosi, gdyż cenę można doskonale wykrzysać, gdy się ma towar poza głównym sezonem.

Młode drzewka w pierwszym roku po posadzeniu pozostawiamy nie cięte, a to dlatego, aby jaknajwięcej liści wypuściły i należycie się wzmocniły; dopiero w następnym roku na wiosnę zaczynamy je przycinać i nadawać im żądany kształt, przez naginanie wiotkich jeszcze gałązek i umocowywanie do poprzednio rozmieszczonych na ścianie drewnianych listew, lub poprostu — co jednak jest mniej polecane — do rozciągniętego grubego drutu. Przestrzeń pomiędzy gałązkami nie powinna być mniejsza, niż 40 cm. Wszystkie inne pędy, szczególnie te, które ku ścianie lub ku przodowi się zwracają, muszą być wycięte. Kształty, nadawane drzewkom, mogą być dowolne; nie będę ich bliżej opisywać; dołączone rysunki uplastycznia to daleko dokładniej. Najodpowiedniejsze do celów powyższych są grusze, szczególnie na pigwach, jabłonie — na rajszych jabłunkach.

Sadzenie i dalsza pielęgnacja drzew niczem się

nie różni od normalnie prowadzonych drzew ogrodowych. Owocować zaczynają już w szóstym, często w piątym roku, okrywając ściany kilkometrowej wysokości zielenią, wiosną zaś zdobiąc je kwieciami.

Francja, Belgja i Niemcy dawno już w ten sposób zabudowania swoje wykorzystują i upiększają; nie pozostajmy więc zanedbato w tyle, tembardziej, że da się to skutecznie tak małym nakładem kosztów i pracy.

A. D.

KONSERWY A WITAMINY

Ostatnimi czasy dokładne badania pożywienia wykazały, że prócz zasadniczych ciał, jak białko, węglowodany i tłuszcze, muszą pokarmy zawierać witaminy, ponieważ są to ciała koniecznie potrzebne do normalnego rozwoju organizmu i utrzymania zdrowia. Brak ich w pożywieniu wywołuje chorobę zwaną „awitaminozą“: tem się tłumaczy, że nie można się odżywiać samymi ciałami, które posiadają skład chemiczny, odpowiadający wymaganym ilościom, ale bezwzględnie potrzebne są jeszcze witaminy.

Witaminy znajdują się przede wszystkim w dużych ilościach w surowych, świeżych jarzynach i owocach. Badanie witamin jest bardzo utrudnione, gdyż nie da się ich wykazać żadną analizą chemiczną, ani nawet przekonać o ich istnieniu. Witaminy wykryto zapomocą zwierząt, użytych w celach doświadczalnych (świnka morska, myszy, szczury), i na nich przekonano się, że w zielonym groszku, w kapuście i szpinaku znajdują się ciała, których brak w pożywieniu wywołuje chorobę, zwaną skorbutem. Ciało to nazwano „witaminą C“, inaczej — antiskorbutyczną.

Badając w ten sposób poszczególne jarzyny i owoce, wykryto, jak dotychczas, pięć różnych witamin, a mianowicie: „witamina A“ (antixerophtalmiczna), „witamina B“ (antineurtyczna), „witamina C“

(antiskorbutyczna), „witamina D“ (antirachityczna) i „witamina E“ (witam. rozwojowa).

Przedewszystkiem wielka zawartość witamin jest stwierdzona w surowych jarzynach i owocach, to też można zalecić spożywanie ich w jaknajwiększej ilości; natomiast w zimie, kiedy surowe świeże jarzyny i owoce są zbyt drogie, lub też (jak niejednokrotnie ma to miejsce na prowincji) wcale ich dostać nie można, jesteśmy zmuszeni do spożywania jarzyn suszonych, lub też konserwowanych (gotowanych, czy sterylizowanych).

Do niedawna było rozpowszechnione mniemanie, że przez gotowanie traci się w jarzynach i owocach wartość witamin. Dopiero dokładne badania uczonych amerykańskich, angielskich i niemieckich wykazały, że przy gotowaniu i sterylizowaniu w pewnych warunkach witaminy nie tracą swojej wartości odżywczej, jedynie zmniejsza się w zależności od sposobu konserwowania ich ilość i siła działania.

Wykazano, że jeżeli gotujemy witaminę w płynach alkalicznych (zasadowych), to ta w nich ginie, natomiast w kwaśnych płynach — nie. Kwas działa na witaminę do tego stopnia utrwala ją, że nawet te małe ilości kwasu, które znajdują się w sokach liści lub owocu, ochraniają witaminę od zniszczenia.

Przy gotowaniu witamina więcej traci na swojej wartości, aniżeli przy konserwowaniu lub sterylizowaniu. Proces ten tłumaczy tem, że tlen z powietrza przy gotowaniu działa niszcząco na witaminę „C“. Natomiast Remy wykazał, że podczas sterylizacji, zwłaszcza w słojach szklanych „Weck“, lub przy konserwacji witamina „C“ pozostaje w pomidorach, fasolce szparagowej, szpinaku w wystarczającej ilości, ażeby zapobiec skorbutowi. Nie widzimy tego, natomiast przy kapuście włoskiej, szalotce, groszku zielonym, chociaż z natury jarzyny te, świeże, posiadają duże ilości witamin. Można zatem przyjąć, że witamina „C“ poszczególnych warzyw różnie się zachowuje przy konserwowaniu.

Wykazanie witaminy „C“ (antiskorbutycznej) wyżej wymienionych jarzyn zostało przeprowadzone na świnkach morskich. Przy braku tej witaminy wystąpiły charakterystyczne objawy skorbutu, a między innymi wyraźne zmiany w kościach kończyn tylnych.

Według dzisiejszych doświadczeń, witamina „C“ jest najbardziej czuła na podniesienie temperatury, podczas gdy inne witaminy wykazują większą odporność.

Hopkins wykazał, że masło bez straty w zawartości witamin można ogrzewać przez 4 godziny do temperatury 120°C; jeżeli jednak przy tem przeprowadza się przez masło strumień powietrza, zanika działanie witaminy „A“, od której zależy prawidłowy rozrost kości. Nie zanika witamina „D“ (antirachityczna), odporna na działanie tlenu podczas gotowania. Tym sposobem można oddzielić witaminę „A“ od witaminy „D“.

Odporną na temperaturę jest również witamina „E“.

Najbardziej czułą na podwyższenie temperatury jest witamina „B“ (antipolineurytyczna). Przez kwasy i zasady zostaje witamina „B“ zaatakowana, do zupełnego zaś zniszczenia prowadzi podgrzewanie jej do temperatury 120°C.

Przy sterylizowanych jarzynach, mięsie, mleku i innych środkach spożywczych, ogrzewanych do

100°C, udało się wykazać witaminy „A“, „B“ i „D“, które wyleczyły w krótkim czasie zwierzątka doświadczalne z chorób, na jakie zapadły przy odżywianiu bez witamin.

Zwierzęta te wykazały typowy obraz kombinowanej awitaminozy, przyczem rachitis (krzywica) i polyneuritis (zapalenie osłonek nerwowych) występowały równocześnie przy zupełnem zatrzymaniu wzrostu i przy chorobach oczu.

De Blassi wykazał, że przy konserwowaniu jarzyn przez dodanie kwasu benzoowego (1 promille — czyli 1 gram na litr) witaminy nie giną.

Reasumując, można powiedzieć, że przez sterylizowanie i konserwowanie witaminy nie giną, natomiast nieumiejętne konserwowanie może prowadzić do częściowego lub zupełnego zniszczenia wartości odżywczych konserw (np.: dodawanie soli miedzi dla nadania konserwom koloru, jak to ma miejsce przy korniszonach, prowadzi do zupełnego zniszczenia witamin).

Z powyższego wynika, że wartość odżywcza konserw, odpowiednio przygotowanych, jest bardzo duża i należy w zimie raczej niemi się posługiwać, aniżeli pozbawiać organizm w zupełności składników, potrzebnych do normalnego dobrego odżywiania.

Dr. Marja Kłosińska.



GALANTYNA Z PROSIECIA NA ŚWIECONE.

Nieduże, lecz tłuste i białe prosię po oczyszczeniu zewnątrz i wypaproszeniu wytrzeć całe cytryną, aby skórka po ugotowaniu zachowała białość. Rozpłatać je w całą długość, nie odcinając główki, ani nóżek. Wyluzować ze środka wszystkie kości, nie naruszając nigdzie skórki (w główce i nóżkach kości, oczywiście pozostawić). Mięso z kości oskrobać, dodać kilo cielęciny, pół kilo przerastalej, młodej wieprzowiny, wszystko to razem przepuścić ze trzy razy przez maszynkę. Za ostatnim razem przepuścić jednocześnie pięć bułeczek-warszawianek, wymoczonych w mleku, i dużą cebulę utartą i uduszoną w łyżce masła. Ucierać tę masę mięsną na misce, dodając po jednym cztery do pięciu jaj całych, surowych. Osolić do smaku, dodać trochę białego pieprzu, sok z dużej cytryny, trochę skórki, z niej otartej, nieco gałki muszkatołowej.

Tymczasem przygotować wszystkie dodatki, używane do zwykłej rolady, to jest: kilka jaj, ugotowanych na twardo i pokrajanych w ćwiartki, kilka zielonych korniszonów, wątróbkę z prosięcia, pokrajaną na płatki, szynki surowej i ozora, pokrajanych w paski, tak samo pokrajanej wędzonej słoninki. Prosię rozłożyć na stolnicy (skórką na dół) i układać na niem warstwami farsz i dodatki, aż się całe napelni. Zaszyć miękkimi nićmi. Ułożyć ładnie główkę, w ryjek wsunąć gruby patyk, aby po wyjęciu można go było zastąpić czerwonym jajkiem. Całe prosię oszyć płótnem.

Do wanieńki od ryb włożyć galantynę, zalać wodą, dodać włoszczyzny, jak do rosółu, kości prosięcia i gotować wolno około dwóch godzin od chwili zagotowania. Wyjąć, dać napół ostygnąć, rozwinąć, płótno zmoczyć octem, napawrót zawinać, wynieść na chłód. Smak wygotować do ilości dwóch szklanek,

skarować białkiem, precedzić, zastudzić na galarecie. Podając galantynie, rozwinąć ją, ułożyć na półmisku (powinna wyglądać, jak całe prosię). Wkoło przybrać posiekaną galaretą, rzeżuchą, zieloną sałatą; w pyszeczek włożyć jajko. Krajać wpoprzek cienkie plastry i podawać z sosem musztardowym lub tatarskim. Tak przyrządzone prosię jest nadzwyczaj podzielne.

KACZKA NADZIEWANA NA ŚWIĘCONE.

Dużą kaczkę oczyszczoną, jak zwykle, rozciąć przez grzbiet, nie naruszając nóżek, ani skrzydeł. Wyjąć wszystkie kości i wnętrzności, pozostawiając mięso przy skórze. Wątróbkę kaczą i pół kilo wątróbki cielęcej (mniej lub więcej, zależnie od rozmiarów kaczki) udusić z taką ilością przerastającego boczku wieprzowego i trzema dużymi cebulami. Wrzucić listek, pieprzu w ziarnach, ziela. Przepuścić to wszystko trzy razy przez maszynkę, za trzecim razem dodając dwie lub trzy bułeczki, rozmoczone w mleku. Utrzeć ten farsz na misce, wbić ze dwa jaja całe; jeśli za rzadki, wysypać filiżankę tartej bułeczki, wciśnąć sok z cytryny, dodać trochę skórki cytrynowej, kieliszek wina, galki muszkatołowej, pieprzu tłuczonego; osolić do smaku, wyrobić doskonale.

Nadziać tem kaczkę, nadając jej kształt całego ptaka, zaszyć dobrze otwór, posmarować masłem i upiec, jak zwykle, trzymając nieco dłużej w piecu, aby się farsz wszędzie równo przepiekl. Natychmiast po upieczeniu wynieść na chłód. Podać z sosem „Cumberland“, lub z ostremi, octowymi sałatami.

KRUCHY MAZUREK RODZYNKOWY.

Zagnieść ciasto kruche z sześćdziesięciu deka mąki pszennej, czterdziestu deka masła naturalnego lub roślinnego i dwudziestu deka cukru-pudru, dodając tyle zimnej wody, lub kwaśnej śmietany, aby ciasto się nie rozpadało. Dodać po dziesięć deka rodzynek bez pestek (sultanek) i czarnych, koryntek, sok i otartą skórkę z jednej cytryny. Wymieszać dobrze, nie gniotać jednak mocno, aby nie pognieść rodzynek. Ułożyć równo na blasze, lekko przyprószonej mąką, wynieść na chłód na godzin parę, poczem upiec w miernie gorącym piecu. Po upieczeniu polukrować ponczowym lub cytrynowym lukrem, polewając nim mazurek, gdyż ma on powierzchnię nierówną i gładko polukrować się nie da.

MAZUREK JABLECZNY.

Upiec podstawę z kruchego ciasta, biorąc na nią dwadzieścia deka mąki, piętnaście masła i dziesięć cukru-pudru, dodając trochę wody, aby ciasto się nie rozpadło; rozwałkować cieniutko i upiec do silnego zrumienienia. Zamiast takiej podstawy, można użyć gotowych wafli cukierniczych — w ostatnim razie wyjdą z tej proporcji dwa lub trzy nieduże mazurki, zastosowane do rozmiarów wafli.

Dwa kilo jabłek kwaskowych obrać, pokrajać w kostkę, zmieszać z jednym kilo cukru i wolno smażyć, wciąż mieszając od dna, aby się nie przypaliło. Wlać kieliszek madery lub węgryna, wysypać kawałek utłuczonej wanilji. Gdy masa zacznie

gęstnieć, dodać dziesięć deka migdałów słodkich, oparzonych, oczyszczonych i pokrajanych w paski, tyleż drobnych rodzynek-koryntek i pięć deka smażonej skórki pomarańczowej, pokrajanej w paski. Zagotować jeszcze razem, posmarować podstawę na palec grubo i dać zastygnać. Nazajutrz można cienko polukrować pomadkowym lukrem, lecz nie jest to konieczne, gdyż mazurki te mają i bez lukru śliczny wygląd i smak wyborny.

SOS CHRZANOWY DO ZIMNYCH MIĘS.

Dwa duże korzenie chrzanu utrzeć na drobnej tarce, lekko posolić, posypać niedużą ilością cukru, zalać octem i pozostawić w odkrytym naczyniu, aby zbytnią ostrość stracił. Dużą łyżkę mąki zasmażyć na biało z łyżką masła, rozprowadzić zimnym rosołem lub wodą do gęstości zawiesistego sosu, zastudzić. Gdy dobrze wystygnie, utrzeć na misce, dodając po łyżce chrzanu. Nakoniec wymieszać z dużą szklanką najlepszej, gęstej, kwaśnej, lecz nie przekwaszonej śmietany i przelać do sosjerek. Wyborny sos do szynki, a głównie do pieczeni wieprzowej i pieczonego prosięcia.

SOS „GROSEILLE“ DO ZIMNYCH MIĘS.

Piekąc cielęcinę, indyka, prosię, sztuface, zlewać sos z brytfanny do kamiennego garneczka. Gdy zastygnie, starannie zebrać zeń wszelki tłuszcz. Tak uformowaną galaretę zlać do rondelka, pozostawiając męty w garneczku, i rozgrzać na brzegu blachy. Na trzy szklanki takiego sosu dodać szklankę galarety porzeczkowej i pół szklanki dobrego, aromatycznego wina (madery, portweju lub węgierskiego). Rozgrzać razem, nie gotując, i przelać do sosjerek, w których dać zastygnać. Ten sos jest wyborny do zwierzyny, indyka, cielęciny, do wszelkiego drobiu i białych mięs.

Pani Elżbieta

KURSY HODOWLI PIECZAREK W POZNANIU.

Pierwszy Kurs Hodowli Pieczarek odbył się w Poznaniu pod kierunkiem prof. Teodorowicza, gorącego propagatora rozwoju przemysłu pieczarkarskiego w Polsce i wybitnego znawcy. Kurs rozpoczął się w listopadzie, a zakończył w lutym egzaminem 12-tu osób (5 osób egzaminu nie składało). Wszyscy otrzymali świadectwa uzdolnienia w zakresie samoistnego zakładania hodowli pieczarek, albo prowadzenia większych hodowli pieczarek — zarobkowych lub przemysłowych — na zasadzie najświeższych zdobyczy nauki nowoczesnej.

Oprócz wykładów teoretycznych odbywały się ćwiczenia praktyczne i wykłady techniki hodowlanej. Owoce pracy uczestników I Kursu Hodowli Pieczarek w Poznaniu, t. j. pełną, przeliczną produkcję pieczarek zwiedzali liczni goście. Cały kurs cieszył się poparciem i zainteresowaniem odnośnych czynników, co wyrażało się w dużej bezinteresownej pomocy. Obecnie rozpoczyna się drugi kurs.

Zarząd Kursów Hodowli Pieczarek w Poznaniu (prof. F. Teodorowicz — Poznań, Wały Królowej Jadwigi 3, II).

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANIA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

W sprawie art. 141 i 142.

Postaram się rzeczowo uzasadnić mój pogląd na sprawę przerywania ciąży. Zastanówmy się nad zmodyfikowaniem odnośnych paragrafów.

Art. 141. Kobieta, która płód swój spędza, lub pozwala na spędzenie przez inną osobę, ulegnie karze więzienia do lat 5.

Art. 142. Kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza, lub jej przy tem udziela pomocy, ulega karze więzienia do lat 5.

Art. 142a. Sprawca czynu z art. 141 i 142 nie ulega karze, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przytem był konieczny ze względu na zdrowie matki, dobro rodziny, lub ważny interes społeczny.

Czy człowiek, logicznie myślący, nie dojdzie do wniosku, że: o ile kobieta ma stosunki lub pieniądze, przerwanie ciąży jest dozwolone; o ile jest biedna i nie będzie mogła zapłacić wyznaczonej przez lekarza sumy, a zwróci się do osoby „tańszej”, narażając życie i zdrowie, ulegnie karze więzienia do lat 5.

Art. 142a jest tak niejasny i zwodniczy, że sporo kobiet po przeczytaniu może myśleć, że już wszystko w porządku. Że przerwanie ciąży nie będzie karane, o ile robi to lekarz. To byłoby wystarczające, gdyby za podobną operację, jak za wizytę u lekarza, było oznaczone honorarium. Tyle i tyle, byłyby pewne odchylenia w cenie, ale w lecznicach byłoby stosunkowo tanio, a Kasa Chorych robiłaby bezpłatnie poronienia, jak i wszelkie inne zabiegi. Ale jeżeli lekarz za podobną operację zażąda 500 zł., a kobieta ma tylko 100 zł.? I za to, że brakuje kobiecie 400 zł., będzie karana więzieniem do lat 5. To już zakrawa na perwersję!

Tyle o zmodyfikowanych paragrafach.

A teraz zastanówmy się, czy istnienie takich paragrafów nie przypomina kobiecie niewolnictwa? Czy kobiety nie powinny zaznaczyć, że urodzenie dziecka, lub przerwanie ciąży, to jest sprawa osobista danej kobiety, i prawo nie może wtrącać się do intymnych spraw. Mam nadzieję, że większość kobiet myślących logicznie, wypowie się za całkowitem zniesieniem par 141 i 142.

Ale będą i przeciwniczki, do nich zwracam się w tej chwili.

Czy istniejące art. 141 i 142 mają jaką siłę? Czy kobiety nie robią poronień? Czy kobiety, przerywające ciążę, były ukarane więzieniem? Jakiż rezultat?

Art. 141 i 142 istnieją, ale są martwe. Kobiety przerywają ciążę i przerywać będą, tylko, że: kobiety niezdolne, dla spędzania płodu połykające trucizny w proszku lub płynie, zwracające się do byle kogo tracą zdrowie, a często i życie. Czy to nie wystarczy?

Jako wniosek z punktu medycznego, podaję: Art. 141 i 142a, zmuszające kobiety niezdolne do tajnego, niefachowo wykonanego przerywania ciąży, rujnują zdrowie i narażają życie kobiet.

Czy społeczeństwo bierze na siebie obowiązek wychowania dzieci rodziców niezdolnych, lub rodziców nieznanymi? Czy społeczeństwo nasze nie jest zagrożone przerażającym przyrostem ludności? Czy mało mamy bezrobotnych, bezdomnych, głodnych? Czy nędza, jaka u nas się szerzy, nie jest najlepszą agitacją komunistyczną? Czy przeciwniczki zniesie-

nia art. 141 i 142 nie zechcą się zastanowić, w jakich warunkach wychowuje się większość dzieci: czy mają opiekę, dom, jakieś rozrywki kulturalne; czy dzieci, zrodzone w nędzy, brudzie i nienawiści, nie będą w przyszłości złoczyńcami, mordercami, albo anarchistami z przekonania?

Już sam wzgląd na przyszłość dzieci powinien wystarczyć, i ogół kobiet musi się wypowiedzieć za całkowitą bezkarnością przerywania ciąży. A przecież kobieta pracująca traci pracę z chwilą ciąży widocznej. Redukcja jest zawsze możliwa, a nawet, jeżeli kobieta potrafi ukryć ciążę do chwili, kiedy położy broni ją przed zwolnieniem, to albo zostaje wydalona po położu, albo zaniedbuje dziecko, zostawiając je na łasce ludzi, a łaska robi z dziecka kalekę, gruźlika, a nawet i trupa. A co czuje kobieta przy pracy, wiedząc, że dziecko zostało samo, głodne i brudne?

I czy nie wynika wniosek z punktu społecznego, że: Art. 141 i 142, naznaczające ciężkie kary za przerywanie ciąży, zmuszają kobietę do rodzenia dzieci, których ani kobieta sama, ani rodzina nie może wyżywić, a tembardziej wychować na uczciwych obywateli państwa.

Powstaje jeszcze rozpatrzenie sprawy z punktu etycznego. Przeciwniczki bezkarności przerywania ciąży będą wysuwały, jako jedyny niezdobyt szaniec, upadek moralności. „Ratujmy moralność!” Ale jak? Gdyby nie istniała pleć, a raczej różnica płci, nie byłoby żyjących stworzeń na świecie; czy to etyczne, nie wiem, ale wiem, że istnieją kobiety i mężczyźni; wiem, że istnieje pociąg zmysłowy dwóch różnych płci, który istniał, istnieje i istnieć będzie, tak, jak jedli ludzie z okresu kamiennego, jedzą dziś i będą jady pokolenia przyszłe. Człowiek pierwotny musiał jeść, a gdy nie miał ognia, jadł potrawy surowe i zimne. Człowiek dzisiejszy posiada kuchnię, ma wybredny smak i wyszukane dania, ale jeść musi!

Zastanawiam się, dlaczego do dnia dzisiejszego, o ile jeść musimy, nie żywimy się jadłem surowym i zimnem? Kultura! Ale nie etyka! Człowiek jadł, je i jeść będzie; różnica polega tylko na sposobie przyrządzenia i podania.

Człowiek dąży do ulepszeń, starając się zużytkować najmniej czasu, zdrowia i wysiłku. Dąży do tego w każdym kierunku: w pracy, jedzeniu, komunikacji i w życiu płciowym.

Pociąg płciowy, jak jedzenie, był, jest i będzie, a kultura daje możliwość (środki zabezpieczające niestety, jeszcze nie zupełnie doskonałe) ograniczania przykrych następstw.

Istnieje ochrona i zabezpieczenie robotnika przy pracy, ale zdarza się, że robotnik ulega wypadkowi i jest ranny, czy etyka nakazuje zostawić go bez pomocy lekarza?

Bo gdyby uważał, gdyby zabezpieczenie nie było zniszczone, a jeszcze lepiej, gdyby robotnik zupełnie nie pracował, nie byłoby wypadku!

A jeżeli kobieta, mająca we krwi przekazany od stworzenia świata pociąg zmysłowy, ulega mu i, nie znając środków zabezpieczających, lub zaniedbuje je, zachodzi w ciążę, czyli ulega wypadkowi, czy ma zostać bez pomocy? To bardzo przykry wypadek i kultura medyczna obowiązana ratować poszkodowaną.

Zmuszanie jednostki wbrew woli jest czynem nieetycznym i prawnie karanym.

A paragrafy 141 i 142, zmuszając kobietę do urodzenia dziecka wbrew woli, pod grozą ciężkiego więzienia, zmuszają do podrzucenia, lub zamordowania dziecka po urodzeniu, a więc stracają kobietę do rzędu ludzi niemoralnych, wyrodnych matek i morderczyń.

Kobieta, panna czy mężatka, która ze względów osobistych, zdrowotnych, czy materialnych rodzić nie chce, nie może być zmuszana do rodzenia pod grozą ciężkiego więzienia. To nieetyczne! (Zdarzają się wypadki śmierci matki przy porodzie).

Tyle do przeciwniczek, a teraz pozwolę sobie na parę słów do zwolenniczek niekaralności przerywania ciąży.

Czy mamy rodzić, czy nie, czy przerywanie ciąży będzie karane, czy będzie bezkarne, o tem powinny zdecydować kobiety. Każda kobieta, jako jednostka wolna, musi sama przed własnym sumieniem rozstrzygnąć sprawę urodzenia dziecka. Bo ona je urodzi, ona będzie cierpiała, ona je wychowa i jeżeli rozstrzygnie, że urodzić nie może, że nie potrafiłaby dziecka wychować na dzielnego członka społeczeństwa, że nie posiada odpowiednich środków, ani warunków, powinna poddać się operacji, a rzeczą społeczeństwa zabezpieczyć jej wygodę i siłę fachową.

Przecież leczą chorych na choroby weneryczne w szpitalach, Kasach Chorych i t. d., i nikomu nie przyjdzie do głowy powiedzieć, że, lecząc weneryków, popycha się masy do życia niemoralnego, że leczenie daje prawo do zarażania się, że wskazania społeczne stają się źródłem spustoszenia moralnego i społecznego. Czy nie dlatego jedynie, że na choroby weneryczne chorują i mężczyźni, a poronienia robią tylko kobiety?

Kobiety, dorosłe do równouprawnienia, powinny żądać całkowitego zniesienia Art. 141 i 142.

To nasza, kobieca sprawa, i tylko my możemy decydować, tylko my mamy prawo do tego!

Zofja Galicka — Warszawa.

Z jakiej racji?

W Nr. 83 „Polski Zbrojnej” umieszczony jest przegląd ostatnich tygodników, w którym w sposób mało wytworny, tak niezwykle dla tego opanowanego, że tak powiem, dystygowanego dziennika, wypowiada sprawozdawca swe uwagi pod adresem „Bluszczu” i „Kobiety w Świecie i w Domu”. Dlaczego nazywa artykuły 141 i 142 k. k. „temi nieszczęsnymi artykułami”? nie wiem. Pamiętam tylko, że nie dawniej, jak przed trzema tygodniami, te „nieszczęsne artykuły” omawiane były w tymże dzienniku w „Tygodniu Pani”.

Pozatem, nie widzę nic ubliżającego „powadze zagadnienia” w artykule p. Szpyrkówny, gdzie z prawdziwym „galgenhumorem” traktuje sprawę, doprawdy wywołującą śmiech przez łzy. Czyżby nasza kochana „Zbrojna” zasłaбла na przeczulenie nerwów?

Co się tyczy tego, czy warto, czy też nie warto czytać „Kobiety w Świecie i w Domu”, to najlepiej chyba pozostawić tę kwestję do rozstrzygnięcia czytelnikom; sprawozdawca „Polski Zbrojnej” natomiast dobrze robi, gdy wogóle przestanie się tem pismem interesować, zwłaszcza poziomem intelektualnym pań, które gawędzą sobie w dziale „Między nami”. Są to przeważnie nauczycielki i żony oficerów, te same, do których „Polska Zbrojna” tak często zwraca się z apelem, prosząc, aby wzięły udział w jej ankietach, lub w działach „Tydzień Pani” i „Tydzień Pana”.

L. Ch.

Gdzie jest szczęście.

Od pewnego czasu toczy się w „Bluszczu” żywa polemika na temat „szczęścia w małżeństwie”. Dziś mam ochotę i ja dorzucić parę słów w tej sprawie, ze swego punktu widzenia.

Przedewszystkiem, kwestję poprawnego pożycia wspólnego dwojga ludzi za silnie określamy „szczęściem”, obserwując bowiem życie bardzo uważnie, śmiało mogę twierdzić, że szczęścia na ziemi wogóle niema, zwłaszcza na dłuższą metę, a więc nie może go być i w małżeństwie.

Natomiast zgadzam się zupełnie z autorką artykułu „o szczęściu”, umieszczonym w numerze 10-tym „Bluszcza”, która mówi, że najgorętszym pragnieniem każdej matki jest, aby jej córce było „dobrze”. To, mojem zdaniem, bardzo trafnie powiedziane, dążąc bowiem do szczęścia, które nie istnieje, zniechęcamy się, albo wpadamy w rozpacz; zakreślając zaś skromniejsze koła swych wymagań od życia, możemy dojść do konkretnych rezultatów i czuć się zupełnie dobrze.

Niema prawie wypadku, aby w małżeństwie dobrały się dwa jednakowe typy, dwa charaktery, jednakowo reagujące na jedno i to samo zagadnienie życiowe; przeto, aby obojgu było *dobrze*, musi zawsze jedno na korzyść drugiego coś ze swego „ja” zrezygnować; jeżeli zaś wziąć pod uwagę, że małżeństwa kojarzą się najczęściej z miłości, czynienie takich małych ustępstw na korzyść osoby ukochanej nie powinno nas unieszczęśliwiać, nie powinno tak nas wyczerpywać, aby dalsze życie stało się „vegetacją”; przeciwnie: czynienie czegoś na korzyść drugiego, (nieraz obcego zupełnie) daje tyle zadowolenia i radości wewnętrznej, że nie można czuć się źle.

Widziało się nieraz osoby, żyjące całą pełnią życia, nie rezygnujące nigdy egoistycznie nic ze swego „ja”, które jednak w rezultacie odczuwały chłód i straszną próżnię w swej duszy.

Czynić dobrze szerokim masom nie jesteśmy nieraz w możności, być zaś słońcem, radością i ukojeniem dla swych najbliższych każdy może i powinien i to właśnie wcale nie jest nieszczęściem, przeciwnie, wypełnia nasze życie duchowe i sprawia, że czujemy się dobrze i to musi nam wystarczyć.

Tu matki mają wielkie pole do działania. Obok wykształcenia, obok przygotowania córek tylko do tego, aby sobie z domem i z dziećmi dały w przyszłości radę, powinny wychowywać od lat najmłodszych swe dzieci płci obojga w pojęciu, że prawdziwe zadowolenie i radość życia odczuwamy tylko po spełnieniu jakiegoś pięknego i szlachetnego czynu; że tylko wówczas będzie nam w życiu naprawdę dobrze, jeżeli się nauczymy dobrze czynić innym. Chłopiec, wychowany w takiej atmosferze, będzie dobrym mężem, będzie rozumiał, że zgoda i harmonja pożycia małżeńskiego nie zależy od rezygnacji ze swego „ja” żony jedynie, że i on z siebie coś dać musi, lecz że ten mus nie wpłynie ujemnie na całość jego życia, przeciwnie: obudzi wzajemny szacunek i przywiązanie, a czy to będzie się nazywało szczęściem, czy inaczej, dość, że takim ludziom będzie ze sobą dobrze.

Dążąc więc do ideału małżeństwa, wychowujmy nietylko przyszłe żony, lecz i przyszłych mężów; czy jednak uda się nam zmienić mężczyznę pod tym względem, aby wolał widzieć w kobiecie społeczną działaczkę, niż dobrą gospodynię, dbającą o żołądek męża, stanowczą i energiczną, niż łagodną i potulną, brzydką i niepokązną, niż ładną i zgrabną?... W to bardzo wątpię.

L. Wojciechowska z Wojciechowiec.